Nr. 2 (1098). Warszawa, 29 Grudnia 1901 r. (11 Stycznia 1902 r.) Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

„Norddeutsche" i „Fremdenblatt."

Sprawa wrzesińska odbiła się w sercach ludzkich silniej, niż można było przewidywać, bacząc na polityczne upośledzenie i niemoc środowiska, w którem się rozgrywała, i na tę drugą naturę ludzką, jaką daje człowiekowi życie w roju, w mrowisku, w stadzie — rzadko zostawiające miejsce i czas na pojęcia ogólne, na drgnienia serca społecznego, na idee i ideały ponad poziom t. zw. rzeczywistości porywające. Współczucie nieprzewidywane tym razem zaświadczyło mniej może o konieczności pewnego prawa, któremu ulega „zwierzę polityczne," niż o wielkości krzywdy pośrednio jemu samemu wyrządzonej. Niezwykłość przemowy, niezwykły zamach jej energii, pobudziły wyobraźnie, a właściwa człowiekowi litość nad człowieczym drobiazgiem, nad dzieckiem — dar czy też podstęp natury do uwiecznienia rodzaju dążącej — pootwierały serca. I oto od Kadyksu do Petersburga i Moskwy, od dalekiego Bergen do Otranto przebiegł Europę dreszcz zgrozy na pedagogię niemiecką we Wrześni; wstrząsnął ludzi i za wielkiem morzem zachodniem. Jest tu coś więcej niż wypadek: jest wybuch, może przelotny tylko jak błysk, ale jest — wybuch ducha z czeluści interesów, zmysłów i ciał. Można bez kłamstwa powiedzieć, że w tym dźwięcznym tonie, który teraz wydały z siebie masy ludzkie, odezwało się serce ludzkości. Wypadek drobny, gdy go weźmiemy pod miarę wielkiej polityki i historyi świata, stał się wielkim, nietylko przez krzywdę, którą w sobie miał, ale i przez uczucie, które przez siebie wywołał. Krzywda okazała się tu klejnotem drogocennym. Historyk niesparaliżowany krótkowidztwem nie będzie mógł tego listopadowego i grudniowego prądu wrzucić do kosza bagatelek niegodnych wielkiego pióra. Wszyscy oni innemi piórami nie piszą.

Jak mógł taki prąd nie wywołać żadnej zgoła reakcyi widzialnej i głośnej w samych Niemczech, w ich najdoskonalszej dziś, bo najsilniejszej odmianie, w Prusakach — niech się o to rozprawiają przyszłe sądy człowiecze z ich egoizmem narodowym; ale, że sejm galicyjski wobec powszechności objawu zachowujący milczenie jakiejś płotki czy wijuna, byłby zjawiskiem nadzwyczajnem, czemś, coby już zgniliznę w sobie mieć musiało — to jasne. Wprawdzie skrępowany stanowiskiem nie mógł on zajść aż tam, dokąd go porywał wniosek Stapińskiego, ale gdyby nie wydał z siebie głosu, gdy krzyk wychodził z piersi ludzi dalekich i obcych, spadłby na poziom dawnych sejmów postulatowych, którym wolno było tylko zajeżdżać poszóstnemi karetami przed dom swobód, a w domu samym prosić jedynie o przyjęcie podatków i rekruta. Gdy i Koło wiedeńskie i ostrożne, zawsze ogień, nawet w wodzie, gaszące stronnictwo zachowawcze w kraju orzekły, że coś zrobić trzeba, porozumiały się z sobą wszystkie stronnictwa, i zgodziły na zbiorowe oświadczenie, które ks. Czartoryski 30 z. m. w Izbie sejmowej odczytał, a którego sejmujący bez żadnego wyjątku, Rusini i Polacy pospołu, wysłuchali stojący. Oświadczenie to brzmi: „Sejm zebrał się tym razem w okolicznościach niezwykłych. Wypadki we Wrześni, przykład bezprawia i ucisku, dochodzącego do okrucieństwa, odbiły się echem donioslem wszędzie, gdzie hasło „siła przed prawem" nie stłumiło uczuć ogólnie-ludzkich. Reprezentacya nasza w Radzie państwa obrażonym uczuciom dała wymowny wyraz, a my, zgromadzeni dziś posłowie sejmowi mamy prawo stwierdzić, że ze stanowiskiem przez nią zajętem w przemówieniu posła Wojc. Dzieduszyckiego łączymy się i widzimy w nim wyraz naszych przekonań i uczuć. Rzecz tę osądzi historya."

Nie można było przemówić łagodniej, gdy wszędzie, w Europie całej, do najdalszych zakątków, do oświeconych i do ciemnych, przenikał ów błysk oburzenia, wyciskającego na pedagogii niemieckiej piętno bezprawia. Nazwanie tego piętna po imieniu było jedynem zuchwalstwem sejmu. Oświadczenie uzupełniło głos ludzkości, która nie potrzebuje dla siebie żadnych form państwowych, aby się objawić, ale objawiając się w nich, większą moc sobie samej nadaje. Sejm nic więcej nie zrobił, tylko to. Był nawet tak przezornym, że nie szukał podwaliny w samym sobie: wziął ją z wiedeńskiej Rady państwa, oparł się na tem, co w niej już spełnił był p. Dzieduszycki. Nie uchwalono ani rezolucyi, ani wniosku pod rozwagę, ani z rozwagi wypływającego życzenia, zalecenia czy też żądania. Działającymi byli członkowie sejmu, a nie sejm. Gdyby chodziło o wielkie jakieś nieszczęście elementarne, o wielką zbrodnię lub wielką cnotę, sejm mógłby zawsze w podobny sposób uczucia swoje ludzkie wypowiedzieć, nie wykraczając ze swych atrybucyj. Nie wykroczył i teraz, gdy przestępstwo pedagogów i sędziów niemieckich nie w swoje tylko wyłącznie miejscowe, ale w powszechne piętno wyposażał. Wyrażenie „ucisk i bezprawie" ich tylko, tych sędziów i pedagogów, dotknąć mogło. Jeżeli było jakie wykroczenie, to tylko przeciwko nim. Oni tylko mieli prawo uczuć się obrażonymi, jak obrażo-

nym czuje się np. złodziej, przyznający, że ukradł, ale niepozwalający siebie nazywać złodziejem, a jeżeli już koniecznie ta hańba spaść na niego musi, to nie inaczej, jak „panem złodziejem.“ Stało się inaczej: pedagogowie i sędziowie zamilkli; przemówiła *Norddeutscherka*. Uderzono w stół—odezwały się nożyce.

Zdaniem organu, wypuszczającego wiatr z miechów, uszytych przez kanclerza, „deklaracya jest przedewszystkiem bezzasadnem i niesłychanem w swym rodzaju wtrącaniem się w sprawy wewnętrzne Niemiec. Użyte w niej ostre wyrażenia świadczą zarówno o zupełnej nieznajomości tego, co zaszło faktycznie, jak i o narodowej nienawiści, której objawem były również i manifestacye. Niechaj nam wolno będzie powiedzieć, że podobne oświadczenia, nieudaremnione protestem organów władzy, można było uczynić tylko wskutek szczerby w ustawie sejmu galicyjskiego.“ Tu już nikt chyba nie wątpi, że *Norddeutsche* wtrąca się w sprawy wewnętrzne monarchii austryackiej i wywiera nacisk na władzę prawodawczą, aby ograniczyć autonomię przez zakneblowanie sejmu. Głos serc ludzkich, niestawiający żadnych żądań, piętnujący tylko urzędników pruskich w szkole i sądzie, głos niezaczepiający zgoła o sam rząd, jego metody i systematy, ma być niesłychanem wtrącaniem sią w sprawy wewnętrzne Niemiec: a jawny nacisk na wolę państwową Austryi jest tylko aktem obrony, dawanej własnym urzędnikom wobec napaści sejmu galicyjskiego! O sile tego nacisku świadczą skutki. Po licznych naradach, któremi rozpoczęto rok nowy w Berlinie i Wiedniu, zgodził się p. Gołuchowski na oćwiczenie sejmu różdżką ojcowskiego upomnienia i czynności tej dopełnił za pomocą półurzędowego długo i szeroko stylizowanego artykułu we *Fremdenblacie*, który 1) przyznaje fakt wtrącenia się w sprawy wewnętrzne, zatem idzie do pary w tan z *Norddeutsche*; 2) zaręcza, że „pomiędzy Austryą a Niemcami nie może się wydarzyć nic takiego, coby mogło wywołać trudności i wzniecić obawę rozpasania“: 3) zapewnia, że „sprawę wrzesińską w samą porę jeszcze powstrzymano od zamącenia jasnych nurtów, którymi płynie najbezpieczniej polityka obu państw sprzymierzonych.“ Niechżeż sobie płynie, ale niechże i Austrya wie, że jej przymierze z Prusami było w ubiegłej chwili jedną z tych miłości, która ściskać umie tylko żelazną dłonią i żelazną prawicą. Marne przymierze — a Austrya biedna.

Walka parlamentarna o traktaty handlowe.

II.

Byliśmy poprzednim razem świadkami niesłychanego powodzenia „cudownego dziecka.“ Zaledwie ten malec w skandalicznie rozdartych spodniach, który wieczorem ofiarowywał na ulicy fijołki lub też powracającym z wyprawy miłosnej w towarzystwie branek kawalerom sprzedawał zapałki woskowe ukazał się w Sejmie rzeszy, wprowadzony tam przez dowódcę krańcowej lewicy, gdy pobił na głowę wrogów traktatów handlowych i taniego zboża. Widzieliśmy, iż hr. Arnim, który obraził ojca młodego głodomora, wydelegował do Kolonii poselstwo pokutnicze, aby zrobiło „Koto“ przed niewinnie posądzonym o pijaństwo rodzicem. Chłopiec zaś sam, niedoszły emigrant niebiański, stał się tak popularnym, iż damy dobijają się o jego autografy, a podróżnicze biuro Stangena urządza specyalną wyprawę dla tych niemieckich bankierów kamieniczników i fabrykantów, co cierpiąc na katar żołądka od ciągłego ucztowania, chcą na własne oczy ujrzeć chłopca, który ma tak wilczy apetyt, iż mu nie wystarczają smakołyki ziemskie, wskutek tego chciał skosztować ambrozyi niebiańskiej. Co prawda, sława chłopca prędko przeminie, albowiem pod wpływem wypadku zaszłego w Sejmie Rzeszy, sporządzono w kilku saskich szkołach elementarnych ankietę, przyczem okazało się, że aż 30—50% uczniów od wielu miesięcy nie jadało obiadu, a nawet znalazł się jeden barbarzyńca i nieuk, który nie zrozumiał tak kulturalnego wyrazu jak „obiad“ i dopiero trzeba go było przekonywać o lingwistycznem istnieniu tego terminu kulinarnego za pomocą słownika. Tu dopiero wyszło na jaw, jak ciemnym i niewykształconym jest jeszcze lud pracujący pomimo swych pretensyi cywilizacyjnych.

Nie mogąc się dłużej zatrzymywać nad występem „fenomenalnego dziecka“ musimy przejść do debiutu innych artystów parlamentarnych. Największym aktorem współczesnym jest bezwarunkowo Fregoli. Nie wielka to bowiem rzecz grać podczas jednego wieczoru dobrze jedną rolę, ale prawdziwą sztuką jest jednocześnie występować w kilku. Fregoli np. potrafi w dramatach przez siebie pisanych grać jednocześnie wiarołomną żonę, przyjaciela domu, rogatego męża, lokaja, który zdradza parę zakochaną, a nawet jeszcze pokojówkę, za którą się ten lokaj uwija. Takim Fregolim politycznym jest obecny kanclerz Sejmu Rzeszy. Dziś wypije za pomyślność przemysłu, który jest niewzruszoną podstawą dobrobytu narodowego; jutro wzniesie toast na cześć rolnictwa i junkrów, będących solą ziemi niemieckiej; pojutrze, jeśli zajdzie potrzeba, wystąpi w czerwonym krawacie i krzyknie: „Proletaryusze wszystkich krajów!“

„Zamknijmy drzwi raz na zawsze, wznieśmy wysokie baryery... Nowych krajów odkryć więcej nie możemy; nie sposób znaleźć na kuli ziemskiej jeszcze narodu, któryby zechciał kupować. Droga traktatów bywa niekiedy bardzo korzystną. Ale zachodzi pytanie tylko, *qui se trompe ici*, kto jest wyzyskiwanym? Zwykle jeden.„ Tak przemawiał—nie Bülow, lecz Bismarck w roku 1879. Pomimo, iż każde zdanie jest tu bezczelnem kłamstwem, jak dowiódł rozwój handlu i przemysłu od tego czasu, pomimo to wiemy z kim mamy do czynienia i czego mówca chciał. Ale dotychczas nikt nie potrafi powiedzieć, czego chce Bülow. Jedno nie ulega wątpliwości, iż zależy mu na tem, aby pozostać jak najdłużej kanclerzem, a wskutek tego przemawia tak, iż jakakolwiek partya zwycięży, zawsze bę-

---

2)

M. Grossek.

SERCE.

II.

Jak wszystkie podolskie i wołyńskie miasteczka, Zwoleńce zajmują znaczną przestrzeń: w obrębie swoim zamykają one dwie wsi oddzielne, murowane miasto żydowskie z rynkiem targowym i kramikami, kolonię inteligencyi, zamieszkującej czyściutkie dworki, osadzone w zielonych ogrodach, kawałki pól, dwa grabowe laski, kilka młynów, dwa stawy, wspaniałe szafiry, złączone łańcuchem rzeki, zamek na górze z folwarkiem i osadą fabryczną.

Apteka stała na końcu miasta, przeciwległym temu, gdzie mieszkali Różyńscy. Lecz dobrze karmione koniki aptekarza, zaprzężone w lekki, na żółto malowany powozik, dzwoniąc wesoło małymi dzwonkami, przelecieły tę przestrzeń jak wicher. Oczom, jadących, kobiet ukazał się wielki szyld apteczny, zawieszony nad oszklonemi drzwiami, do których wiodły schodki. Szaraban okrążył węgieł, potoczył się jeszcze przez kawał placu pomiędzy cerkwią a sztachetami i nagle zarył się w ziemię, przed oszklonym gankiem, gdzie pan Stanisław Kucz z czubem rozwianym od wiatru, czekał już aby dopomódz wysiąść marszałkowej i zaprowadzić ją w głąb domu. Serafinę opadła chmara psów z radosnem skomleniem i wyciem, skacząc na ramiona i liżąc twarz, śmiejącą się dziecinnie, zatrzymała u wejścia. Za psami wybiegły do niej dwie panny z klaskaniem rąk, śmiechem i krzykiem. Błyszczące oczki, cera herbatniej róży, i „cięte“ usta warszawianki usprawiedliwiały wesołość jednej, lecz młodziutka siostra aptekarza usiłowała tylko naśladować swą piękną nauczycielkę, pannę Maryę, radując jej oczy skokami nóg dużych, konewkowatych i ruladami zaflegmionego głosu, bo skrofuliczna jej twarzyczka, nacechowana była tym smutkiem, właściwym istotom młodym, niepięknym i chorowitym, które przeczuwają, że miłość nie dla nich. Wśród tego niesmacznego i nieszczerego trzpiotowstwa tuliła się i łasiła do Serafiny jak kotek.

Serafina obejrzała ją od stóp do głów, starannie rozprostowała szeroką wstążkę zasłaniającą szramy na szyi dziewczęcia i kazała iść zdjąć suknię, w której jej było nie do twarzy; za odchodzącą popatrzyła z westchnieniem. Potem z tą samą troskliwą badawczością przeniosła oczy na pannę Maryę. Piękna panna, wykręcając się zręcznie na śpiczastym obcasku zaglądała niby to w okna, lecz w gruncie rzeczy przeglądała się w każdej szybce, oblizując i przygryzając wargi. Czarna jej suknia, naszyta paciorkami, brzęczała i migotała w słońcu, jakby deszczem skropina.

Serafina obejrzała się uważnie, oczy jej szukały czegoś w kwietnikach, aż padły na krzew płomienistych gwoździków, których wiązankę wpięła Maryi artystycznie we włosy. Gdy ją Serafina tak stroiła, piękna panna przez jedno mgnienie miała w oczach wyraz zachwyconego zdziwienia. Objęła aptekarzową i piskliwie powtarzając: „Paniusiu, złotko“ z męskim akcentem wyciskała całusy na szyi jej i rękach. Serafina, która nie lubiła pieszczot, delikatnie wyzwoliła się z tych objęć i poszła do ogrodu, gdzie wśród bab kopiących motykami stał na posterunku pan Ignacy.

„Przebiegła, czy głupia?“ — rozmyślała, idąc za nią panna Marya, której wydawało się niemożliwem, aby ta trzydziestoletnia pani domu nie rozumiała, ile traciła przy nauczycielce swej siostry.

„Cóż to za pocieszny snopek“ — myślała —„Jak ona się toczy, jak drepcze i utyka... pewnie sobie następuje na suknię... Jak mamę kocham, szersza w pasie, niż w ramionach. Stanik fałduje się na niej jak żydowska pończocha. Pasek niezapięty wisi z pod spodu, jak pacierze żydowskie... a jak się spódnica przekrzywiła!“

I mimowolnym ruchem ujęła się w pasie dla pewności, że sama żurnalowo była cienka i, że stanik „dzięki Bogu!“ leżał na niej „jak ulał.“

dzie mógł krzyczeć: „Nasi górą!“ Wprawdzie podczas rozpraw na taryfą celną, bronił on ceł normalnych, ale ani razu nie powiedział wyraźnie, co należy rozumieć przez taryfę minimalną. Jeszcze przed trzema tygodniami pozował na agraryusza z krwi i kości, a dziś już prasa urzędowa Niemiec pod wrażeniem komunikatu rosyjskiego ministeryum skarbu wyznaje, iż taryfa minimalna obowiązuje — tylko na papierze. W praktyce, podczas rokowań żadnej granicy minimalnej niema i rząd niemiecki prawdopodobnie opuści jeszcze coś z projektu, ułożonego w duchu agrarnym. Cała mowa Bülowa zresztą, którą zagaił rozprawy, odpowiada zwyczajowi kanclerza, siedzenia na dwu krzesłach: „Projekt— wywodził hr. Bülow—usiłuje *z uwzględnieniem możliwie jednakowem* wszelkich uprawnionych interesów przedewszystkiem uczynić zadość życzeniom rozciągnięcia większej opieki nad rolnictwem.“ No, czyż to nie prawdziwy anioł dobroci ten hr. Bülow? Najpierw chce wszystkich zadowolić, a nadto jeszcze wesprzeć junkrów, których krótko i węzłowato nazywa rolnictwem. Ażeby jednak przycisnąć przy tej okazyi i zagranicę do swych piersi, mówca dodał natychmiast: „Projekt ten nie oznacza bynajmniej odwrotu od polityki traktatów handlowych,“ a gdy, jak świadczy protokół parlamentarny, nikczemni radykałowie wybuchnęli salwą śmiechu, dystyngowany hrabia zauważył, iż z pewnością się o tem przekonają. Ale wnet kanclerz odczuł obawę, iż może nie wszystko pójdzie tak po maśle, jak to wypływało z jego słów, wskutek tego zrobił głęboką uwagę filozoficzną, iż wszędzie w życiu ludzkiem toczy się walka. Rząd niemiecki, wychodząc z tego założenia, jest przygotowanym z góry na gorące zapasy. Bez tego realizmu filozoficznego trudno byłoby w istocie sobie wytłomaczyć, dlaczego przy „możliwie jednakowem uwzględnieniu“ wszystkich mogłaby wszcząć się gorąca walka. Ażeby jednak zakończyć godnie swój występ, hr. Bülow przybrał pozę Janusa. Wyciągnąwszy swe miękkie dłonie, położył jedną na głowie przemysłu, drugą na głowie rolnictwa i pobłogosławił oboje kochanych dzieci. „Niemcy nie są krajem przemysłowym, ani rolnym, lecz zarazem jednym i drugim.“ A gdy to mówił, pokazał język swój zagranicy. „Panowie — wołał rozprawy swoje będziemy prowadzili wobec całego świata... Powinniśmy zatem prowadzić w duchu *egoizmu narodowego*, który jest naszem dobrem prawem. Tak tedy w przeciągu dziesięciu minut hr. Bulow odegrał rolę apostoła pokoju powszechnego i harmonii społecznej, anioła dobroci, kosmopolitycznego dżentelmana, zaciekłego szowinisty i protektora junkrów. Mowa Bülowa była jakby prologiem do występów krasomówczych i innych przedstawicieli Rady Związkowej, które cechuje ten sam brak stanowczości i jednolitości. Podczas gdy rządowi obrońcy taryfy w większości wypadków ciągnęli za włosy ekonomię polityczną, aby przysięgała przed Sejmem, iż podwyższenie ceł nie jest prezentem dla kliki magnatów rolnych lecz deską ratunku dla milionów drobnych gospodarzy, to pełnomocnik rządu wirtemberskiego w sposób skandalicznie szczery wypapłał przed Sejmem Rzeszy swe wątpliwości, „że drobny właściciel *nie może sprzedawać* zboża, albowiem je sam w całości spożywa;— w tem tkwi sporo prawdy.“ Prawdziwą sokratesowską apologią ceł zbożowych była tylko mowa sekretarza stanu Posadowsky'ego. Jego zdaniem, oczywiście, Niemcy nie zboczyłyby nigdy z zasad wolnego handlu, gdyby nie zmusiły ich do tego dane państwa, które ponoszą odpowiedzialność za rozkwit protekcyonizmu w nowych czasach. Zaprzeczył nawet jakoby Niemcy były krajem ceł ochronnych wogóle, co mu nie przeszkodziło po upływie pięciu minut zwrócić się do szemrzącej lewicy z zapytaniem retorycznem, azaliż Niemcy nie mają prawa ustalić swej taryfy tak jak im się podoba? Ażeby jednak nikt nie ośmielił się podać w wątpliwość tego prawa, minister Posadowsky z góry niewiernym Tomaszom odmówił wszelkiej dumy narodowej. Wreszcie mówca dotknął ogromnie drażliwego punktu. Ostatni, wielki spis ludności z r. 1895 wykazał, iż stan rolny stanowi mniejszość ludności niemieckiej. Gdyby zatem w istocie cła wyszły na korzyść całej klasie, co jednak jest nieprawdą i jak widzieliśmy nawet minister wirtemberski w imieniu Rady Związkowej wyraził o tem wątpliwość — to w takim razie zachodziłby zatarg pomiędzy interesem większości i mniejszości. Sama moralność nakazywałaby mniejszości uchylić głowę przed wolą i dobrem przeważającej części kraju. Otóż minister Posadowsky usiłował rozproszyć tę legendę, jakoby rolnictwo zajęło w mechanizmie przemysłowym stanowisko drugorzędne. Wprawdzie — wywodził on — produkcya wytworów rolnych zatrudnia tylko 39% kraju, ale nie trzeba zapominać, ile to milionów żyje w sposób pośredni z rolnictwa. Posadowsky przeoczył tylko, iż z tej samej racyi można byłoby rolników przedstawić jako wasalów, utrzymujących się z ludności miejskiej zatrudnionej w przemyśle.

Tak wygląda obrona ceł przez kanclerza i jego pomocników, Cała opinia publiczna Niemiec orzekła, iż obrona ta wypadła nieudolnie wprost nadspodziewanie źle. Co gorsza, trudno oprzeć się wrażeniu, iż pełnomocnikom rządowym zależy właściwie tylko na przeprowadzeniu traktatów handlowych, a ponieważ nie mają ani dostatecznej odwagi, ani sprytu, aby dokonać tego za przykładem Capriviego wbrew woli junkrów, więc kruszą kopie w obronie ceł zbożowych i tańczą w takt fujarki większości parlamentarnej, która tego sobie życzy. W razie zaś gdyby większość ta na mocy swych wewnętrznych sprzeczności pękła a szala przewagi przechyliła się na stronę lewicy, wtedy kanclerz Bülow każe swemu sekretarzowi Posadowsky'emu „pojechać do Krety,“ a sam zawoła na cały głos: „Górą nasi“ i niby prawdziwy Fregoli z deklarowanego protekcyonisty przeistoczy się natychmiast w zawołanego i przekonanego wolno-handlowca z całego serca i całej duszy.

Podobnie „wyraźne“ stanowisko zajęło centrum katolickie. Sługom Rzymu nie zależy ani na tem, aby lud był syty, ani na tem, aby junkrzy mogli podwoić swe porcye szampana i powiększyć swe haremy. Ich dewiza brzmi: „aby handel szedł.“ Podobnie jak stolica Apostolska handlowała niegdyś indulgencyami, tak ultramontanie sprzedają dziś swe głosy. Z tego wypływa rzecz oczywista, iż centrum gotowe pogodzić się zarówno z celnikami jak wolnohandlowcami. „Jesteśmy dumni — mówił Spahn w imieniu katolików — iż zwolennicy naszego stronnictwa rekrutują się ze wszystkich klas zawodowych. Przystępujemy zatem do taryfy z przeświadczeniem,

---

Tymczasem pan Ignacy, chuderlawe bez zarostu chłopczysko, dojrzawszy pryncypałową, puścił się na przeciw niej szybkim krokiem, od czego rozkołysały się obszerne jego dolne szaty.

— Cóż tam słychać? — pytała zdaleka Serafina—daliście sobie bezemnie radę?

— A jakże, pani dobrobziejko,—odrzekł pan Ignacy zdyszany — cobyśmy sobie nie mieli dać rady!—Ale główna rzecz— mówił zafrasowany — że niema co robić, pani dobrodziejko... nędza!.. źle będzie... niema żadnej epidemii... co tu począć?... ludzie zdrowi, nie przymierzając, jak konie...

Biedaczysko sam był chory; szkodziły mu zajęcia apteczne, w których też bardzo często zastępowała go Serafina, posyłając na swoje miejsce gdzieindziej. A on jak umiał, starał się okazać jej swą wdzięczność.

Stali tak wszyscy w pełnem słońcu, wśród ogródka łysego od szerokich i gęstych ścieżek, gdzie krzaki agrestu i porzeczek, bzów i jaśminów, oraz młode szczepy owocowe i przezroczyste akacye nie dawały jeszcze cienia. Lecz za to tem jaskrawiej barwiły się pyszne kosze i piramidy z kwiatów, okrągłe, zielone groty i altany, jak również rozrzucone w kształcie kwadratów i krzyży dywaniki kwiatowe. W powietrzu brzęczały rojące się pszczoły, a na skręcie ścieżki, z po za zielonego wału jaśminów i kalin, wysunął się śliczny orszak dzieci.

Otwierała go poważna, jedenastoletnia dziewczynka biała i drobna, jak kwiat konwalii. Włosy jej, koloru orzecha laskowego, zaplecione w dwa cienkie warkoczyki koło uszów, łączyły się z tyłu nad krótką czuprynką. Szła wolno, z oczyma wlepionemi w druty, na których wisiała bardzo „wymęczona“ robótka. Często z tonem i spojrzeniem mentorki zwracała się za siebie do ośmioletniej Broni, grubej kulki, z wypiętym brzuszkiem o brzydkich lecz sympatycznych ustach mopsika, która w przeraźliwie skrzypiącym wózku ciągnęła najmłodszą siostrzyczkę, wiozącą do „Alsiawy“ swoje cztery porcelanowe córki.

Dzieci Serafiny zawsze bawiły się same: starsza opiekowała się średnią, a średnia młodszą. Od urodzenia nikt z niemi nie miał kłopotu, nawet karmiąca je matka. Rosły zdrowe, wesołe, ciche i rozsądne, prawdziwe dzieci zdrowej, niezdenerwowanej matki. Poczciwa natura wychowywała je sama, prawie bez niczyjej pomocy.

Serafina uśmiechnęła się pieszczotliwie do swych dzieci — a one podniosły ku niej twarzyczki nagle zaróżowione i oczy tak roziskrzone, jak gdyby w tej chwili olśniło je słońce. Wszyscy razem zawrócili ku domowi, a po drodze zrywali co chwila kwiaty, bezmyślnie je potem obskubując z listków i rzucając obojętnie pod nogi. Nikt nie zauważył, jak żałośnie spoglądały na to oczy Serafiny.

III.

W pokoju jadalnym Kuczów, wązkim a długim, zacinionym lipami stojącemi za oknem i czekoladowem obiciem ścian — ciemno było i duszno od dymu tytuniowego i pary, którą wyrzucał z siebie dygocący, od bałwaniącej się w nim wody, samowar z ogromnym kaczkowatym na szczycie imbrykiem.

W tym zakątku zielonawego mroku, który wśród ognistej atmosfery słońca czerwcowego nęcił jak oaza, tkwił wdzięk pouffny barw jaskrawych, rozpływających się i plam białych, występujących twardo i rażąco, jak w nocy — była jakaś wesołość cicha, coś swobodnego, co ośmiela i wlewa otuchę.

Chłodno było i ciemno od spuszczonych rolet, lecz rojno i gwarno od gości.

Temperamenty sangwiniczne, winem podlane, kipiały wesołością swojską, krzykliwą i szorstką.

Istnem jej wcieleniem był sam pan domu. Wysoki, szczupły mężczyzna, z konopiastym czubem, wrzynającym się w środek kopuły czoła, między dwa głęboko worane kąty; jaśniał on cały gościnnością, zachwycony swą rolą gospodarza, mimo że ta rola powinna mu już była spowszednieć, niezmordowany w napełnianiu kieliszków i talerzy, wmuszał łyk za łykiem, kęs za kęsem w pełne już gardła biesiadników, z którymi staczał istne batalie, sypiąc, jak z rękawa, przypowiastkami i przeróżnemi "propos" dla przekonania opornych. Z kobietami przeprawy te i ceremonie okraszał sute żartami w stylu naszej rycerskiej galanteryi: całował im rączki, ostrzeliwał je zalotnie spojrzeniami i słodkiemi słówkami,

iż stanowisko nasze jest właściwie *neutralne.*" Ale tu zerknął mówca okiem po prawicy. „Istnienie Niemiec opiera się właściwie na rolnictwie."

To lakoniczne niemal załatwienie sprawy, od której zależą losy narodu niemieckiego, charakteryzuje wymownie taktykę dyplomatyczną centrum. Partya ta, nie mająca żadnych przekonań oprócz wiary, iż katolicy pójdą do raju, a wszystkie pozostałe „sekty" do piekła lub też, że wiek złoty ludzkości nastanie dopiero z przywróceniem państwa papiezkiego, ta partya unika możliwie wielu słów, albowiem słowo ludzkie zobowiązuje i wiąże, a „Rzymianie" chcą mieć ręce niezwiązane. Dziś, jak widzieliśmy wyżej, uważają oni rolnictwo za podstawę Niemiec, pomimo, iż temu absolutnie przeczy abecadło statyki gospodarczej. Za kilka miesięcy, gdy junkrzy nie przystaną na prowizyę i rabat, żądane przez centrum, wtedy ultramontanie powiedzą, iż „wprawdzie centrum Niemiec, jakeśmy już rzekli, opiera się na rolnictwie ale..." i tem „ale," które oznacza ni mniej ni więcej jak sto głosów przeciwko cłom zbożowym, mogą zmiażdżyć junkrów. W istocie już teraz, pomimo miodowych miesięcy pożycia parlamentarnego, wybuchła maleńka kłótnia rodzinna. Już dzisiaj centrum jest zmuszone wciąż ofukiwać junkra „Noli tangere circulos meos." Stąd do odłączenia od stołu celnego jeszcze daleko i trudno przepowiedzieć, czy rozwód nastąpi przed terminem traktatów handlowych. Ale, że wcześniej lub później nastąpić musi, to nie ulega żadnej wątpliwości. Centrum bowiem i „Związek rolników niemieckich" popychają się już dziś łokciami. Rdzeń partyi ultramontańskiej stanowi chłopstwo katolickie. Podczas wyborów ksiądz katolicki grozi wiecznemi mękami piekielnemi tym, którzy wybiorą ewangielika, w dodatku ten sam ksiądz organizuje kasę typu Raiffeisena i w ten sposób okrąg za okręgiem głosuje w okolicach rolniczo-katolickich za centrum. Ale oto od pewnego czasu przybywają agenci Związku junkierskiego i przyrzekają złote góry. Zamknie się giełda zbożowa, zabroni się handlu produktami rolnymi, otoczy się Niemcy wysokim murem celnym, chłop stanie się wtedy magnatem. Nietylko człowiek prosty, ale istota tak światła i głęboko wykształcona jak chłop katolicki, potrafi odrazu ocenić zbawienność tych środków. Stąd ogarnęła centrum wielka obawa o jego posiadłość polityczną. Podczas gdy lewe skrzydło robotnicze ciąży ku lewicy, a okręgi polskie emancypują się, to prawe ciągnie w stronę junkrów. Centrum przeto jest zmuszone paktować z tymi ostatnimi, ale jednocześnie i walczyć. Od ułożenia się zaś stosunku pomiędzy temi stronnictwami zależy los traktatów handlowych.

Zobaczmy jeszcze, w jaki sposób wystąpili junkrzy w parlamencie wobec taryfy celnej. Mówca, hr. Schwerin, zastrzegł się przedewszystkiem przeciwko nadużywaniu wyrazu „junkier." Poseł Volmar np. jest szlachcicem, a jednak należy do stronnictwa socyalistycznego. Błędem jest zatem utożsamiać junkrów, szlachtę pruską, z obozem zachowawczym. Mówca dalej pochwalił hr. Bülowa za jego zachowanie się w walce o traktaty handlowe i przypiął łatkę nieboszczykowi Capriviemu. Jako mąż pełen bezstronności, oświadczył przytem z bólem serca, iż proponowane w projekcie taryfowym cła są za nizkie. W tej formie zatem zachowawcy projektu uchwalić nie mogą. Traktaty handlowe mają wogóle sens tylko wtedy, gdy odpowiadają życzeniom „rolnictwa." „Chłopi będą walczyć aż do ostateczności o swe uniezależnienie, na podobieństwo Boerów. Idzie tu bowiem nie tyle o dobra gospodarcze, ile idealne; rzecz w tem, czy w istocie Niemcy ma spotkać los państwa przemysłowego, które wcześniej czy później musi stać się pastwą przewrotu. Przykład Anglii poucza, jak dalece niebezpiecznem jest podporządkowywać dobro rolnictwa i kraju interesom przemysłu.

Also sprach der Junker. Dawszy rzut oka na obóz protekcyonistyczny, przejdziemy teraz do mówców lewicy i ich wywodów.

H.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W *National Review* pewien dyplomata przemawia za porozumieniem się Anglii z Rosyą: sprawa o Indye jest płonną; zetknięcie się z sobą daje na pograniczu tamtejszem każdej ze stron możność wglądania w to, co robi druga; obie widzą, że niema niebezpieczeństwa; możnaby porozumieć się i w sprawie chińskiej.

Nowy rok przyniósł liczne zwierzenia. P. Barrère, poseł w Rzymie, dał wyraz radości z utrwalonych dobrych stosunków z Włochami. Porozumiano się o m. Czerwone; ułożono o kapitulacye tunetańskie; niema dziś już kwestyi śródziemskiej (układ o Tripolis). Nuncyusz w Paryżu powiedział Loubetowi kilkanaście słów pochwalnych. Koloman Szell w Peszcie przyrównywał chwilę obecną do północy już bliskiej; zawarcia traktatów ekonomicznych z Austryą odkładać już na później nie podobna. Ciężka jest odpowiedzialność wichrzycieli wiedeńskich; nazwał ich grzecznie Szell — żywiołami.

Dzienniki węgierskie sięgają po Bośnię i Hercogowinę; rząd się wypiera wspólnictwa. Sprawa nie jest ani węgierską ani austryacką: jest międzynarodową. Dziennikarze gotowi są Austryi zwrócić Kroacyę, która razem z Dalmacyą wytworzyłaby osobną całość.

W przedmowie do pielgrzymów francuskich Papież nazwał prawo o zakonach najcięższą napaścią na kościół ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wykonano; wolnomularstwo chce oderwać Francyę od kościoła; jedynym ratunkiem nowa — katolicka Izba deputowanych i nowe wybory —w roku bieżącym; właściwe miejsce dla siebie mają katolicy w stronnictwie dep. Pion. W Paryżu znowu nuncyusz na nowy rok zapewnił Loubeta, że Francya wkracza w wiek XX owiana duchem sprawiedliwości i zgody: tamto mówił władca duchowny, to dyplomata.

Na prezydenta Kuby zgromadzenie narodowe wybrało Palmę, zasłużonego patryotę i republikanina.

Pomiędzy Niemcami a Venezuelą stan przedwojenny, ale wojny nie będzie. Dla wyexekwowania zależności prywatnej Niemcy zajmą komory i zerwą stosunki. Pomiędzy Argentyną a Chile była już zgoda pewna, protokuły wymienione, pośrednictwo króla angielskiego niewątpliwe, sąd polubowny—tylko kwestyą czasu; znowu się teraz coś zepsuło; ale wojny nie będzie.

Pod Tweefontein miał De-Wett zdobyć 3 armaty, 67 wozów z amunicyą, 2000 karabinów i 150 wozów z prowiantami. Anglicy wzięli do niewoli jednego z wodzów boerskich, Erasmusa.

---

co razem wzięte dawało temu towarzystwu, jak wogóle wszystkim naszym towarzystwom, pozór lekkości obyczajów.

Za przykładem gospodarza reszta gości płci męskiej na wyścigi służyła i hołdy składała paniom.

Obiad miał się już ku końcowi— humory dochodziły do szczytu podniecenia; mężczyzni, skupiwszy się u szarego końca stołu, udzielali sobie półgłosem anegdot, których duch wiać u nas nie przestał od czasów fraszek Kochanowskiego, Morsztyna lub Wacława Potockiego.

Kobiety, zostawione samym sobie, prowadziły rozmowę śmiertelnie nudną, którą też były śmiertelnie znudzone — strzygąc uszami w stronę wesołych, zakazanych powieści i pocieszając się w duchu, że prędzej czy później i one je usłyszą... mężatki od mężów, panny od mężatek. Lecz wkrótce zniecierpliwione, jedna za drugą, szczególnie młodsze i ładniejsze, zaczęły cienkim jak dzwonek a donośnym głosikiem, z lekceważącem wydęciem ust rzucać podjazdowe słówka w zwarty obóz męski, pobudzając do dezercyi. Dwóch tylko zacietrzewionych opowiadaczy wyniosło się do sąsiedniego pokoju, a za nimi podążył trzeci, Kucz, z miną do śmieszności zaciekawionego malca. Rzecz dziwna — Kucz w obejściu skromny jak kobieta, człowiek obyczajów bardzo czystych, który z powodu swej niezłomnej wierności małżeńskiej był przedmiotem żartów koleżeńskich, przepadał w towarzystwie za rubasznym, tłustym żartem. Słuchał opowiadań cyników prawie z uwielbieniem i uznaniem ich wyższości nad sobą. Kiedy powrócił do stołu, oczy miał czerwone od łez i był jak połamany od śmiechu.

Ten człowiek bawił się wybornie. Dla niego ludzie takim byli żywiołem, jak woda dla ryby. Płuca jego oddychały lekko i zdrowo w zamkniętej, „ludem" nabitej chacie. Ten śmiech gromadny, śmiech, który zdradza myśl lekką i energiczny żołądek, służył mu dobrze. Jemu potrzeba było takiej gimnastyki, szeroko obejmujących się, ramion, cmokań głośnych i ośliniających, tego szorowania po twarzy bród, napojonych korzennymi sosami, tych okrzyków tubalnych i mocnego potrząsania prawic. Mniejsza o to, jak i z kim, byle z ludźmi gadać, jeść i pić. Gadać nadewszystko! Kucz, skazany na trzy dni milczenia, był blizkim śmierci. Do ludzi śmiały się jego figlarne oczy, cieszył go widok twarzy, które rozrumieniło jego wino, rozradowały wytwornie przyrządzone potrawy. Wbijało go to w dumę, że on tak raczy swych przyjaciół, że ma wszystkiego dobra pod dostatkiem „więcej niż inni," że ludzie bawią się, a jego stać na taką zabawę. Prócz tego, rad chełpił się i tem, że te wszystkie smakołyki były wyrobem domowym Serafiny.

— Ho! ho! co to za kobieta, panie dobrodzieju, ta moja Serafina! — Co to za gospodyni! — Jak ona to wszystko umie urządzić!—powtarzał. I tak wysoko cenił kunszt swojej żony, że grzeczny uprzejmy dla wszystkich, nie mógł ukryć wzgardliwego politowania wobec innych kobiet, z których żadna, jak mniemał, Serafinie dorównać nie była w stanie.

Ale dziś zły był na żonę. Gdzie musię podziała! gdzie polazła, myślał, raz po raz z niezadowoleniem spoglądając we drzwi i niezręcznie biorąc się do półmisków, z których sosy lały mu się przez rękaw na obrus. Serafina, co prawda, w towarzystwie była zerem. Nie widać jej było z po za pleców męża, gasła zupełnie w blasku jego zalet towarzyskich, lecz Kucz nie mógł obejść się bez żony, jemu osobiście ona była potrzebna z mocy, zapewne, przyzwyczajenia, które utrwaliło się jeszcze we wspólnem ich dzieciństwie. Wyrzekając oto teraz w duchu na jej „ślamazarność" i „niedołęztwo," jest poprostu tylko rozdrażniony chwilowym brakiem nieustającego dreptania i usług żony koło siebie; niema też kim się opiekować w danej chwili, żal mu jej, boi się o nią i lubi ją mieć zawsze na oku, świadom, jak krucha i niepraktyczna jest ta istota, tak miękka i tak dziecinnie niedoświadczona, po za obrębem swego kobieco - domowego królestwa.

(C. d. n.).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WALKA O ZDROWIE.

Do poważnych klęsk społecznych śród najszerszych warstw naszej ludności zaliczyć trzeba choroby organów oddechowych. Może w żadnem społeczeństwie klęska ta nie jest tak widoczną, jak w naszem. Jeżeli przyjrzymy się bliżej przyczynom, to łatwo przyjdziemy do wniosku, że tkwią one głównie w warunkach pracy i bytu. Nasze mieszkania, zwłaszcza warstw ubogich i niezamożnych, warsztaty, zakłady przemysłowe i fabryczne, szkoły, biura, kantory, a nawet, niestety, i niektóre lokale redakcyjne — to są najważniejsze czynniki rozstroju organów oddechowych, to najniebezpieczniejsze źródła zakażenia. Do rozwoju tych chorób przyczyniają się także w znacznej mierze warunki wychowania. Całe masy ludności zupełnie niezaradne, poddają się biernie tym niebezpiecznym wrogom ich zdrowia i życia. W sferach uświadomionych, zdających sobie dokładnie sprawę ze smutnego położenia, nie widzimy prawie żadnej dążności do przeciwdziałania, pomimo że mamy rozpostartą na szerokich podstawach poważną instytucyę — Towarzystwo hygieniczne. Jakkolwiek nie jest ono organem wykonawczym, mogłoby jednak oddać społeczeństwu wielkie usługi, szerząc samą ideę ratunku, namawiając ogół do samoobrony i tem samem dopomagając do odpowiedniej organizacyi w życiu.

Myśli te pomimo woli się nasuwają przy czytaniu świeżo wyszłej z druku książki dr. Alfreda Sokołowskiego p. t. „Wykłady kliniczne chorób dróg oddechowych (choroby tchawicy i oskrzeli)." W dziele tem, pomimo charakteru ściśle specyalnego, są rozsiane uwagi na tle społecznem i te właśnie posiadają bardzo doniosłe znaczenie ogólne.

Autor przywiązuje wielką wagę, zwłaszcza w naszych warunkach, do leczenia zapobiegawczego. Niema wprawdzie dotąd bliższych danych statystycznych w tej mierze z całego kraju, ale natomiast Warszawa dostarcza bardzo wymownych cyfr. Są to sprawozdania warszawskiej Rady miejskiej dobroczynności publicznej, tj. wykazy liczby chorych, dotkniętych zapaleniami oskrzeli a leczonych w szpitalach warszawskich. Z zestawienia za r. 1898 dr. Sokołowski wyciąga następujące dane: Z ogólnej liczby 22,085 chorych, leczonych w ciągu powyższego roku w siedmiu większych szpitalach warszawskich, było dotkniętych chorobami dróg oddechowych (z wyłączeniem gruźlicy) 2,570; z tej liczby 958, tj. 37,3% przypada na różne postacie zapalenia oskrzeli. Cyfry te dotyczą prawie wyłącznie przewlekłych zapaleń oskrzeli, i to postaci cięższych, które już spowodowały różnorodne mniej lub więcej ciężkie powikłania w innych narządach: w płucach, sercu itd. Rzadko bowiem do naszych szpitali przybywają chorzy z ostrymi katarami oskrzeli lub też z lżejszemi postaciami form przewlekłych.

„Chorzy tej ostatniej kategoryi w klasie uboższej naszego społeczeństwa albo wcale się nie leczą, albo też, w razie pogorszenia sprawy, zasięgają dorywczo porady w ambulatoryach szpitalnych. Doświadczenie zaś poucza, że śród chorych, szukających w ambulatoryach szpitalnych pomocy w chorobach wewnętrznych, przeważną większość, szczególnie w miesiącach zimowych, stanowią chorzy, dotknięci ostrymi lub zaostrzonymi katarami oskrzeli."

Ta sama częstość nieżytów oskrzeli występuje wreszcie i w klasie zamożniejszej. W ciągu ostatnich lat dziesięciu, tj. od czasu wielkiej epidemii influenzy, autor zauważył w Warszawie późną jesienią i zimą niezwykle często rozmaite postacie zapaleń oskrzeli u ludzi, znajdujących się nawet w najlepszych warunkach życiowych, za równo u dorosłych, jak i u dzieci. Sprawy te w niektórych latach występowały prawie epidemicznie. To samo dzieje się i w innych większych miastach kraju naszego. „Nawet po wsiach, śród względnie o wiele lepszych warunków hygienicznych, katary dróg oddechowych w ostatnich czasach występowały niezwykle często."

Cierpienia te stanowią wielokrotnie grunt sprzyjający rozwojowi innych, bardzo ciężkich i niepomyślnie kończących się spraw chorobowych (rozedma płuc, niedomoga serca, gruźlica itp.) i tym sposobem wprost lub pośrednio usuwają od pracy znaczny procent ludzi. Jednocześnie zaś, jako cierpienia długie i nieuleczalne, ciężko obarczają rodziny i społeczeństwo. To też kwestya profilaktyki, jak słusznie dowodzi autor, nie jest sprawą osobistą każdego człowieka, lecz państwową, ekonomiczną niezwykłej doniosłości." Niestety, prawie nic dotąd u nas nie zrobiono w tym zakresie.

Statystyka chorób robotników wykazuje stale ogromny procent cierpień dróg oddechowych, a przedewszystkiem katarów — tem większy, o ile przy danej fabrykacyi lub rzemiośle powietrze jest bardziej zanieczyszczone produktami szkodliwymi; nadto źle na drogi oddechowe działa nadmierne gorąco, skupienie ludzi, gaz oświetlający ze szkodliwymi produktami spalenia. „Poprawa tych wszystkich szkodliwości przez wprowadzenie odpowiedniej, na podstawach naukowo-technicznych urządzonej wentylacyi, ścisłe zastosowanie liczby pracowników do zajmowanej przez fabrykę przestrzeni, wprowadzenie światła elektrycznego zamiast gazowego lub naftowego, ograniczenie liczby godzin w fabrykach, szczególnie szkodliwie wpływających na drogi oddechowe (np. szlifiernie), przenoszenie robotników od czasu do czasu z oddziałów zamkniętych i bardziej ujemnie wpływających na drogi oddechowe, do oddziałów mniej szkodliwych lub też znajdujących się na świeżem powietrzu — wszystkie te zadania mogą być osiągnięte; lecz do tego potrzeba nietylko wprowadzenia w życie odpowiednich praw państwowych, istniejących już i ściśle przestrzeganych na Zachodzie Europy, a częściowo tylko u nas, lecz jednocześnie i dobrej woli właścicieli fabryk; mimo bowiem najlepszego prawodawstwa, nieprędko doczekamy się błogich skutków, głównie z powodu rutyny i niechęci przemysłowców, narażanych przez te hygieniczno-prawodawcze wymagania na znaczne wydatki i straty materyalne."

Dr. Sokołowski twierdzi, iż w starych fabrykach, „mimo nieraz najlepszych chęci, a nawet odpowiednich nakładów," zmiany gruntowne pod względem zdrowotnym nie dadzą się przeprowadzić. Dopiero przy budowie nowych fabryk z uwzględnieniem urządzeń hygienicznych, wymaganych przez prawodawstwo, zabiegi w tej mierze mogą wydać odpowiednie owoce. Takie zadośćuczynienie wymaganiom hygienicznym jest istotnie możliwe, o czem wymownie przekonać mogą przykłady na zachodzie Europy, gdzie dzięki odpowiednim urządzeniom w kopalniach, fabrykach i wszelkich wogóle zakładach przemysłowych, znacznie się zmniejszył procent chorób dróg oddechowych.

Autor twierdzi, iż hygiena państwowa w miastach również może się przyczynić znacznie do profilaktyki chorób tego rodzaju. Kurz uliczny, szczególnie zaś wapienny, wyziewy z kanałów, zbytnia suchość powietrza w dni upalne, stanowią również „moment etyologiczny," wysoce usposabiający do katarów dróg oddechowych. Nawet w największych miastach niemieckich i angielskich, po ulepszeniu bruków, wprowadzeniu kanalizacyi i wodociągów i zarazem obowiązkowego częstego polewania ulic, po zadrzewieniu miast, urządzeniu licznych skwerów, ułatwieniu wycieczek świątecznych za miasto itd., cierpienia dróg oddechowych stają się coraz rzadszemi.

Dr. Sokołowski wielką wagę przywiązuje do środków ogólno-hygienicznych, domowych, stosowanych przez osoby prywatne. Warunki mieszkań naszych wogóle przyczyniają się ogromnie do rozwoju chorób dróg oddechowych. Do takich szkodliwości zaliczyć należy: 1) zupełnie niedostateczne przewietrzanie mieszkań z braku odpowiednio urządzonych wentylatorów, lufcików, nadokien itp.; dalej — fatalny przesąd i obawa przed urojonymi przeciągami, które nie pozwalają na otwieranie okien nietylko w zimie, ale nawet latem; 2) zamykanie niektórych pokoi na zimę i skupianie się znacznej liczby osób w stosunkowo niewielu lub zbyt małych pokojach; 3) niedostateczne lub niesystematycznie zbyt rzadko powtarzane gruntowne odświeżanie mieszkań, a gromadzenie się kurzu w licznych zakątkach, pasażach, na piecach, ścianach itp.: 4) brak wycieraczek do nóg itp. urządzeń, a stąd stałe zanieczyszczanie mieszkania kurzem, błotem itp. nieczystościami, przynoszonemi z ulicy; 5) brak odpowiednich spluwaczek w mieszkaniach, plucie osób kaszlących w kąty, za piec itd., co w wysokim stopniu (pomijając nawet plwocinę gruźliczą) przyczynia się do zakażenia powietrza; 6) używanie, szczególnie w pokojach sypialnych, lamp naftowych, z kopcącymi i dużo ciepła wydzielającymi palnikami; 7) ciepłota mieszkań, przeważnie w porze zimowej, zupełnie niewłaściwa: zbyt zimna, lub też, co się częściej zdarza, przesadnie gorąca (nieraz 15—18°), co wytwarza w mieszkaniach takiego lokalu zbyt wielką wrażliwość na zimno. Podobne warunki istnieją także w lokalach publicznych.

Dr. Sokołowski zapomniał jeszcze o paru szczegółach znamiennych: 1) że nawet ludzie inteligentni lekceważą znaczenie wskazanych przez niego elementarnych warunków hygieny; 2) do szerzenia się chorób dróg oddechowych bardzo często przyczyniają się kaszlące starsze osoby, które całują dzieci lub biorą je na noc do swoich łóżek. Uważniejsi domownicy krępują się w przestrzeganiu tych osób, ażeby im nie zrobić przykrości lub nie wywołać podejrzenia, że posądzane są o gruźlicę. Dość jednak wiedzieć, że każdy kaszel jest zaraźliwy; ażeby te skrupuły rozwiać.

Tymczasem wynikiem wszystkich powyższych ujemnych czynników hygienicznych są warunki ogromnie usposabiające do ostrych a następnie chronicznych katarów oskrzeli.

Nietylko warstwy napół oświecone, ale nawet inteligentne popełniają także ciężkie błędy nieodpowiedniem, za ciepłem ubieraniem dzieci.

Te wszystkie czynniki, o ile tu nie stoją na przeszkodzie warunki pracy i bytu materyalnego, dałyby się w znacznej mierze powoli usunąć na drodze stałej i uporczywej propagandy zasad hygienicznych. Co do leczenia chorób i usposobień do nich za pomocą świeżego powietrza, na to może się zdobyć zaledwie niewielka liczba uprzywilejowanych. Znaczna większość, niestety, przykuta do łańcucha obowiązków, zamknięta na zawsze w murach miejskich, w piwnicznych lokalach, pracująca w dusznych biurach i kantorach, nawet w dzień biały przy świetle gazowem, całe tłumy długo przebywające w nieodpowiednich lokalach fabrycznych —to ogromna, to znaczna większość społeczeństwa, skazana na wszelkie dolegliwości fizyczne, zwłaszcza dróg oddechowych. Tutaj już ani przepisy

hygieniczne, ani wszelkie inne środki nie wydadzą owoców pożądanych. Doczekają się ich chyba przyszłe pokolenia kiedyś, gdy się zmienią zasadniczo warunki i urządzenia bytu. Tymczasem jednak należy robić co się da. Trzeba urządzać możliwie w największej liczbie kolonie letnie, sanatorya, stacye klimatyczne dla ludzi niezamożnych, trzeba przestrzegać, ażeby nowe domy, lokale fabryczne i biura były urządzane z zastosowaniem wszelkich wymagań hygienicznych. Po za tem należy na drodze prawodawczej dążyć do zmiany uciążliwych warunków pracy w różnych instytucyach, do zniesienia jej nierównomierności itd. Są to wszystko środki w znacznym stopniu możliwe do urzeczywistnienia. W zapoczątkowaniu takich spraw niemałą usługę społeczeństwu mogłoby oddać Towarzystwo hygieniczne.

Zen. Piet.

Z NAD WARTY I ODRY.

Rząd pruski w dalszym ciągu prowadzi wojnę z dziećmi polskiemi, ponieważ przykład znalazł i znajduje naśladowców wśród dziatwy szkolnej Poznańskiego. W Gostyniu, gdzie w najwyższej klasie zaprowadzono niemiecki wykład religii, dzieci systematycznie odmawiają odpowiedzi na niemieckie pytania nauczycieli. Wolą wyciągać ręce po „łapy," niż uczyć się religii po niemiecku. W Jaraczewie, pomimo wszelkich usiłowań nauczycieli, dzieci nie chcą odpowiadać na pytania niemieckie. Toż samo dzieje się w Miłosławiu i Krotoszynie. W tem ostatniem mieście wprowadzono niemiecki wykład religii przed kilku laty, ale dopiero po wypadkach we Wrześni dzieci krotoszyńskie zaczęły stawiać opór nauczycielom-germanizatorom. Jest dość prawdopodobnem, że opór ten rozszerzy się i w innych miejscowościach.

Hakatystyczna prasa niemiecka jest wobec tych faktów w wielkim kłopocie, ponieważ dalsze prowadzenie wojny z dziećmi istotnie naraża na szwank powagę rządu pruskiego i pruskich władz szkolnych. Sprawa wrzesińska wywołała takie zaburzenie za granicą, że nawet hakatyści przestraszyli się skutków swej roboty. Wobec tego nie wypada katować dzieci tak, jak we Wrześni. Skazywanie zaś na dodatkowy rok nauki szkolnej dzieci opornych przedłuża tylko o rok wojnę z niemi—wojnę, bynajmniej nie przyjemną dla władz, a tembardziej dla nauczycieli. Według wiadomości, podanej przez *die Welt am Montag*, nauczyciele zaczynają wynosić się na zachód Niemiec. Czynią to zwłaszcza tacy, którzy przyjechali do Poznańskiego z nad Renu. Obecnie w samym tylko obwodzie regencyjnym bydgoskim wakuje 85 posad nauczycielskich. Niezbyt to dobrze wróży dalszej pracy germanizatorskiej w szkole pruskiej.

Dziatwa wrzesińska nie przestaje być bohaterem chwili i przedmiotem ogólnego zajęcia. Dnia 23 grudnia urządzono dla niej gwiazdkę, która była wspaniałą uroczystością. W ogromnej ujeżdżalni dr. Ponińskiego ustawiono cztery olbrzymie — prawie pod dach sięgające świerki, przybrane w setki palących się i świecących ozdób. Pod świerkami mieściły się długie stoły, pokryte upominkami dla dziatwy sykolnej. Od drzwi bocznych aż do stołów i dalej aż do wielkiej bramy szły uwieńczone baryery, przeznaczone na to, aby dzieci bez przeszkód przystąpić mogły do stołów i po obdarowaniu dogodnie wyjść do domu. Najprzód weszło 13 dzieci najwyższej klasy, najsrożej karanych, po nich szły dzieci skazanych przez sąd gnieźnieński, nareszcie reszta dzieci szkolnych według klas — razem 660. Obecni byli ich rodzice i goście. Po odśpiewaniu kilku kolend i mowie powitalnej gospodarza, nastąpiło rozdawanie podarunków gwiazdkowych. Dzieci, karane najbrutalniej, mogły same wybierać podarunki, dzieci skazańców wyróżniono też sutymi podarunkami, reszta dziatwy odeszła również hojnie obdarowana zabawkami, książkami, łakociami i ubraniem.

Szowiniści niemieccy, naturalnie, nie posiadają się z wściekłości z powodu takich „demonstracyj," jawnie pochwalających i nagradzających to, co oni uważają za „zbrodnię." A tymczasem polityka wynaradawiania w szkole pruskiej przynosi coraz to straszniejsze owoce.

Oto trzynastoletni chłopak z Będzitowa— Józef Hetman, uczeń szkoły w Manliczu, nie umiał przeczytać jakiegoś ustępu niemieckiego z książki, podanej mu przez nauczyciela. Ten począł bić dziecko po dłoni. Kiedy chłopak cofnął rękę, nauczyciel pochwycił go za kark i zaczął okładać kijem. Podczas pauzy kazał pozostać Hetmanowi w klasie, sam zaś wydobył z szafy trzcinę i znowu katował go. Na następnej lekcyi, inny już nauczyciel, zawołał Hetmana do mapy. Kiedy biedne dziecko, cierpiące od dwóch dni na ból zębów, oszołomione biciem, nie umiało nazwać Warty, nauczyciel uderzył je w twarz, poczem rzucił na ławkę, przyparł jego ciało kolanem i zaczął bić kijem. Hetman wysunął się z pod kolan „pedagoga," który wówczas kazał go powtórnie rozciągnąć czterem uczniom i bił dalej. Skatowane w ten sposób dziecko dostało silnych wymiotów i ledwie z pomocą kolegów zdołało dowlec się do domu. Lekarz, wezwany przez rodziców, stwierdził zapalenie ślepej kiszki. W parę dni potem dziecko zmarło. Zawiadomiona o tem prokuratorya bydgoska wysłała do Będzitowa radcę sądowego z tłomaczem oraz dwóch lekarzy. Ci ostatni po dokonaniu obdukcyi oświadczyli, że orzeczenie odkładają na później, ponieważ w żołądku zmarłego znaleziono przedmiot twardy, podobny do pestki. Należy dodać, że ten przedmiot jakoś nagle potem znikł. Nie wiadomo jeszcze czem się ta sprawa skończy, gdyż zachodzi obawa, że „czynniki wpływowe" będą usiłowały go zatrzeć.

Łatwo zrozumieć, jaki nastrój wytwarza się w społeczeństwie pod wpływem podanych faktów, które, dzięki prasie stają się znanymi jaknajszerszemu ogółowi. Powoli nienawiść do wszystkiego, co nosi charakter pruski, zakorzenia się i w tych sferach, które do niedawna jeszcze cechowała obojętność. Nie więc dziwnego, że zachowanie się Koła Polskiego w parlamencie berlińskim wywołało powszechny niesmak, a gdzieniegdzie i wyraźne oburzenie.

W prasie poznańskiej wyłoniło się pytanie, komu właściwie należy zawdzięczać panowanie kija w szkole pruskiej? Pokazuje się, że nie komu innemu, jak „przyjacielowi i sojusznikowi" Koła Polskiego — partyi centrum katolickiego. Kiedy przed kilku laty z powodu pewnego procesu przeciwko nauczycielowi o pobicie dziecka Koło Polskie wniosło interpelacyę, minister oświaty, Bosse, nie czekając wyniku raportów sejmowych nad interpelacyą, wydał rozporządzenie, uszczuplające znacznie panowanie bata w szkole. Wówczas to gazety centrowe, które były w wielkim kłopocie z powodu wytoczonego procesu o pobicie dziecka pewnej berlińskiej przełożonej domu sierot katolickich, wszczęły piekielny hałas przeciwko rozporządzeniu ministeryalnemu. Posłowie katoliccy w sejmie pruskim tak energicznie bronili kija w szkole, że minister był zniewolony do znacznego złagodzenia swego rozporządzenia.

Jest to jeden z wyników panowania centrum w kraju polskim, ale nasi sojusznicy centrum — tak z Koła Polskiego jak i z gwardyi *Katolika*, nie chcą słyszeć o innych sojuszach. Argumenty za sojuszem z centrum brzmiały i na wielkim wiecu, zwołanym na dzień 15-go grudnia do Bytomia przez gwardyę *Katolika*.

Sala zebrań była wypełniona po brzegi na godzinę przed rozpoczęciem wiecu, tak, że setki miejsca już nie znalazły. Bardzo licznie stanęły do apelu kobiety, ale policya, wbrew wszelkiemu prawu, zażądała ażeby te opuściły salę, zagrażając w przeciwnym wypadku rozwiązaniem wiecu. Wywołało to powszechne oburzenie, ale kobietom nie pozostało nic innego, jak wyjść, ponieważ katolikowcy nie wnieśli w swoim czasie skargi po wydaleniu kobiet na wiecu w Królewskiej Hucie, choć z pewnością uzyskaliby wyrok pożądany.

Zapowiedziano referaty o żywiole polskim na Górnym Śląsku i o dobrowolnej germanizacyi. Referentami byli redaktorowie *Katolika* i *Dziennika Śląskiego*, pp. Dombek i Siemianowski. Warto przytoczyć parę ustępów z mów tych kierowników ruchu narodowo-polskiego, albo raczej katolicko-polskiego, ażeby czytelnicy wiedzieli, jak zacofanemi pod względem narodowym są hasła, głoszone przez *Katolika* i katolikowców. Należy zaznaczyć jednocześnie, że te referaty, które wygłaszają pp. Siemianowski i Dombek, są wszystkim już oddawna znane, ponieważ przywódcy katolikowców objeżdżają Górny Śląsk od kilku lat z tymi samymi referatami, zmieniając w nich tylko ilustracye faktyczne, stosownie do wymagań chwili.

Nie napróżno p. Siemianowski powtarza w kółko swoje zapatrywania: stanowią one przecież najbardziej zasadnicze punkty programu katolikowców pod względem narodowym. I potem jeszcze katolikowcy dziwią się, że lud górnośląski jest dotąd za mało uświadomiony narodowo!

Zgromadzeni oczekiwali od p. Siemianowskiego wypowiedzenia się w sprawie stosunku obozu *Katolika* do centrum. Istotnie referent krytykował „niektórych" centrowców, jak np. dr. Heisiga lub hrabiego Ballestrema, ale nie powiedział ani słówka przeciwko popieraniu jawnie germanizatorsko usposobionych centrowców (jak np. ów hr. Ballestrem) przy zbliżających się wyborach.

Drugi referent, p. Dombek, zachęcał zgromadzonych do uczenia dzieci po polsku, do zakupywania elementarzy i katechizmów, do opierania się wprowadzaniu niemieckich nabożeństw w parafiach polskich. Poruszył sprawę teatru germanizacyjnego i ubolewał nad tem, że musi występować przeciwko katolickim ochronkom, stanowiącym, jak wiadomo, jedno z najniebezpieczniejszych narzędzi germanizacyi.

Referaty trwały dwie godziny, wobec czego na „wolne głosy" pozostało zaledwie pół godziny. Jest to zwyczaj, stale praktykowany przez katolikowców w celu niedopuszczenia do głosu przedstawicieli poglądów odmiennych, którzyby się mogli znaleźć na wiecu, lub przynajmniej w celu uniemożliwienia im wyczerpującej krytyki. I zgromadzeni na wiecu bytomskim w bardzo pokaźnej liczbie przeciwnicy *Katolika*, nie mogli ani dokładnie zaznaczyć swego stanowiska, ani roztrząsnąć spornych punktów referatów.

Pierwszy zabrał głos p. Korfanty z Katowic, redaktor świeżo założonego pisma *Górnoślązak*, autor niesłychanie ostrych artykułów w *Dzienniku Berlińskim*, wymierzonych przeciwko całej taktyce katolikowców, a zwłaszcza ich sojuszowi z centrum. Przypuszczano powszechnie, że p. Korfanty skorzysta z dogodnej sposobności, ażeby rozwinąć wobec zgromadzonych tłumów program narodowo-demokratyczny. Tymczasem wystąpił on w ten sposób, że go można było wziąć za najbardziej prawomyślnego katolikowca, albo za człowieka pozbawionego najzupełniej odwagi

cywilnej. Mowa reprezentanta *Gornoślązaka* konczyła się trzema żądaniami programowemi: 1) kochajmy wszystko swojskie; 2) odrzucajmy wszystkie obce pierwiastki; 3) miejmy ufność w lepszą przyszłość.

Na trzy minuty przed zakończeniem zebrania udzielono głosu p. Haasemu, redaktorowi *Gazety Robotniczej*, ale mu natychmiast głos odebrano, gdyż przypomniano sobie, że to wiec katolików, p. Haase zaś nie należy do kościoła katolickiego. Otrzymał natomiast głos p. Morawski, przedstawiciel tegoż samego stronnictwa, ale katolik z wyznania. Mógł on jednak zaledwie kilka zdań wypowiedzieć. Wystąpił otwarcie przeciwko posłom centrowym i germanizatorskiemu klerowi, zalecał oświatę polityczną i zakładanie stowarzyszeń robotniczych. Wywody mówcy zgromadzenie przyjęło hucznymi oklaskami, udowadniając tem, że się z nim bardziej solidaryzuje, aniżeli z p. Siemianowskim, którego odpowiedź, zamykającą wiec, oklaskiwała tylko mniejszość zebranych.

Pośrednik.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Moralne długi.

Do starych elegij publicystycznych należy u nas skarga na niesumienność i niewypłacalność dłużników stowarzyszeń dobroczynnych młodzieży polskiej. Odezwy zagranicznych związków akademickich do byłych kolegów, którym one pomagały pieniężnie w kształceniu się, a którzy, otrzymawszy korzystne stanowiska, zapomnieli zupełnie o zwrocie pożyczek, groźby wystawienia takich winowajców pod pręgierz publiczny, artykuły prasy piętnujące te przeniewierstwa i usiłujące obudzić poczucie obowiązku — wszystko to aż nadto obznajmiło nas ze smutnym faktem. Wobec bezużyteczności tych napomnień i oskarżeń może nie podnosilibyśmy głosu wołającego na puszczy, gdyby nie ponowione narzekania na ubóstwo naszej młodzieży w wyższych zakładach naukowych, dla której pole zarobkowania dotkliwie się skurczyło, a źródła zapomóg wyschły. Ponieważ zaś te źródła zasilane są głównie ofiarnością małych i niezamożnych kół społecznych, a przeto wyczerpują się szybko, więc trzeba znowu postawić przed sumieniem ich dłużników moralny nakaz oddania tego, co kiedyś wzięli. Trudno nawet przykładowo uzasadnić tę powinność w obrębie stosunków miejscowych, gdyż one nie posiadają organów, mogących dostarczyć ilustrującego je materyału. Ale za to w stowarzyszeniach zagranicznych nagromadził on się i ujawnił bardzo obficie. A niektóre wypadki są wprost oburzające. W pewnem mieście niemieckiem bardzo czynny członek „bratniej pomocy," wziąwszy znaczną sumę z kasy, wyjechał i na wszelkie upominania się wcale nie odpowiedział. Pewien znany literat, zaciągnąwszy pożyczkę z „Koła" paryskiego, nie zwrócił jej, pomimo że później stał się posiadaczem kilkudziesięciu tysięcy rubli. Inny znowu, malarz, otrzymawszy zasiłek na kształcenie się za granicą, zużył go na podróż dla odwiedzenia znajomych. I tak dalej. Nie jednostki, ale setki korzystają z funduszów dobroczynnych, a potem nie czują najmniejszego wyrzutu sumienia, gdy jako ludzie] zamożni pozostają głusi na prośby o zwrot długu. Czy wobec tego można się dziwić, że kasy stowarzyszeń są puste, że najofiarniejszych ogarnia niechęć, że uboga młodzież nie znajduje ratunku w ciężkiem położeniu, które rozstrzyga o jej losach? Każdy z tych panów uważałby sobie za hańbę, gdyby natychmiast nie uiścił przegranej w karty; ale wziąć pieniądze ze stowarzyszenia lub pożyczyć je od jakiejś dobrej duszy i śmiać się potem z ich pretensyj — to nie cięży nawet pyłkiem na jego honorze. Jest to karygodna nieuczciwość. I dlatego mniemamy, że nie należałoby podobnych przeniewierców oszczędzać, lecz ich pozywać przed sąd opinii publicznej. Zyskałaby na tem zarówno moralność ogólna, jako też liczne jednostki młodzieży naszej, które zasługują na pomoc a nie znajdują jej dzięki owym nadużyciom wyzyskiwaczów filantropii.

Przywilej.

Gdyby podczas wojny ktoś z jednej strony dał komuś z drugiej kromkę chleba, z pewnością byłby za to zniesławiony i ukarany. Ale gdyby ktoś w przeciwnym obozie dał koncert — przebaczonoby mu, a przynajmniej my przebaczylibyśmy. Bo „artysta," zwłaszcza z zagraniczną sławą, posiada przywilej zupełnego lekceważenia interesów i uczuć swego społeczeństwa. Obowiązki patryotyzmu, obywatelstwa, jego nie dotyczą, a uczyni im zupełnie zadość, gdy od czasu do czasu odwiedzi swoich ziomków i uszczęśliwi ich promykiem swego talentu, odnowiwszy przy kieliszku śluby swego z nimi rodactwa. Na mocy tego przywileju nie poczytano za złe Paderewskiemu, że grał Niemcom w Katowicach i Poznaniu wtedy, kiedy wybuchły orgie wrzesińskie. Nie zrobiono mu również najlżejszej wymówki, że grał świeżo w Kolonii „na cele dobroczynne," w tej samej Kolonii, z której dziennikarskimi kanałami wylewają się potwarze na Polaków. Zaiste pyszny obraz: cały świat ucywilizowany piętnuje Niemców za ich okrucieństwa nad dziećmi polskiemi, a polski muzyk daje śród Niemców bezpłatne koncerty. I dlaczego? Dlatego, ażeby sobie zyskać ich przychylność dla swej opery, która ma być wystawiona w Kolonii. No, chyba nowocześni Krzyżacy będą zapamiętale oklaskiwali „Manru"; bo jeżeli nie sam utwór, to jego autor rzetelnie na to zasłużył. Zresztą nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby Paderewski odegrał np. w Galicyi koncert na korzyść ofiar wrzesińskich: w tłomoczku patryotyzmu artystycznego wszystko się pomieści i pogodzi. Wszakże „sztuka" unosi się po nad życiem.

Szczególny list.

Ogłaszanie listów publicznych może także stać się epidemią. Jeżeli ktoś tym sposobem uderzy szczęśliwie w wielki dzwon uwagi powszechnej, z pewnością wielu zacznie szarpać za swoje dzwonki. Tej pokusie uległ niefortunnie S. Smolka. Jako poważny uczony i profesor uniwersytetu posiadał prawo do zabrania głosu w tej formie, ale niestety uczynił to akurat wtedy, kiedy nie miał nic do powiedzenia. Niejaki Sattler, narodowo-liberał, nadworował sobie po błazeńsku w sejmie niemieckim z Polaków. Oburzony tym postępkiem kolegi prof. Smolka, przesłał do gazet niemieckich (przetłomaczony w naszych) obszerny list, w którym przypomina Sattlerowi, że razem z nim uczył się u znakomitego historyka Waitza, że obaj, otrzymując dyplomy, przysięgli szerzyć prawdę, że obaj śpiewali piosenki na cześć prawdy, że teraz p. Sattler mówi nieprawdę, a prof. Smolka wyda wkrótce jakąś broszurę, która zapewnie „spotka się z bojkotowaniem przez niemiecki handel księgarski." Wszystko to jest niewątpliwie prawdą, ale po co było ją ogłaszać w liście publicznym? Ani ta odezwa nie będzie dla p. Sattlera i jego rodaków przekonywającą, ani dla nas nie jest ważną, a jest przykrą o tyle, że napisana została tak okropnym językiem, jakiego już dawno nie spotkaliśmy w prasie polskiej. W objaśnieniu dodano, że tłomaczenia dokonała Orzeszkowa, która tak źle pisać nie umie, więc chyba nie jej wina zrodziła wszystkie grzechy stylistyczne. Nie rozumiemy zresztą, co znaczy polski przekład niemieckiego listu profesora uniwersytetu Jagiellońskiego. Przecież on sam językiem polskim włada. Wogóle szkoda, że przed tą listową kampanią p. Smolka nie poradził się dobrego i rozumnego przyjaciela.

J. Ochorowicz o naiwności polskiej.

Artykuł J. Ochorowicza „O naiwności polskiej," zamieszczony w *Gazecie Polskiej*, a przez redakcyę opatrzony przypiskiem i zastrzeżeniem, wywołał wielką wrzawę. Pokrótce, można się nie zgodzić z ostatecznymi wynikami rozumowań p. Ochorowicza: że charakter narodów w ciągu całych tysiącoleci nie ulega zmianie, że z Niemcami nigdy w najdalszej przyszłości zgody nie będzie. Ale jest tam jedno zdanie głębokie, które powinno stać się kanonem zapatrywań politycznych każdego Polaka: jedyni uczciwi Niemcy, to — hakatyści, bo ci przynajmniej nie są obłudni, nic nie obiecują i nie zwodzą. Zaprawdę, powinna nas już historya nauczyć, iż dowierzać obietnicom „uczciwych" Niemców jest to samo, co budować zamki na lodzie; pamiętamy przecie, jak już w r. 1846 i 1848 obiecywano nam złote góry, byłebyśmy złożyli oręż i rozproszyli oddziały zbrojne, a potem duszono nas bez ceremonii, pamiętamy i ten zawód, jakiego doznaliśmy, zaufawszy lekkomyślnie „nowemu kursowi" Wilhelma II. A może i teraz dalibyśmy się „błyskotkami złudzić"? Przed tem ostrzega nas artykuł p. Ochorowicza.

h.

Fałszywy wstyd czy chybiona dobroczynność?

W ostatnich dniach dzienniki nasze doniosły z żalem, iż niedawno założony „Dom św. Jadwigi," przytułek dla ubogich pracownic, świeci pustkami. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, iż przyczyna tego smutnego stanu rzeczy leży w wysokiej cenie mieszkania i życia w tej instytucyi. Okazało się, że całodzienne utrzymanie wraz z pokoikiem kosztuje w Domu św. Jadwigi 10 rb. 50 kop. miesięcznie, co jest stanowczo za dużo, gdyż żadna szwaczka ani robotnica tyle nie zarobi. Dobroczynność więc chybiła celu.

A może większą rolę gra tu fałszywy wstyd? Miejsca, opuszczone przez szwaczki, mogłyby być zajęte przez samotne nauczycielki, kasyerki, telefonistki, pracownice biur, kantorów, telegrafu itp., które przecież w znacznej większości mogłyby uiszczać półjedenasta rubla miesięcznie. Ale — zbyt głęboko zakorzeniony jest u nas nałóg odgradzania się murem chińskim od „motłochu," pracującego nie głową, lecz rękami. Nauczycielka miałaby mieszkać o ścianę ze szwaczką lub sklepową?—przenigdy! Raczej tułać się po „pokojach przy familii," cierpieć niewygody, chłód, upokorzenia, obelgi, mieć śniadanie z herbaty i suchej bułki, obiady przyrządzane na fryturze, lub przy szarym końcu stołu za dwie i pół godziny dziennie lekcyi z muzyką i konwersacyą francuską. Ale za to mamy to głębokie zadowolenie wewnętrzne, że się — nie pospolituje.

h.

Dla pracownic.

Władze właściwe zatwierdziły ustawę kasy dla kobiet, skazanych przez losy na twarde zabiegi o chleb powszedni. Pomoc, na szerszych, trwałych podstawach oparta, jako instytucya społeczna, istotnie jest w tym wypadku bardzo potrzebna. Fale życia coraz więcej wyrzucają owych rozbitków niewieścich z nawy rodzinnej na strome brzegi bytu. Coraz więcej kobiet staje się żywicielkami matek, ojców, braci lub sióstr,

steranych albo niezdolnych do jakiejkolwiek pracy zarobkowej. To też coraz bardziej narażają się one na poniewierkę, wyzysk lub nędzę straszną, rozpaczliwą, a pomimo to tajoną pod przykryciem ambicyi i godności człowieczej tych rzesz nieszczęśliwych. Stworzenie instytucyi, któraby pozwoliła im przetrwać najcięższe chwile braku jakiegokolwiek zajęcia, może mieć znaczenie doniosłe jeszcze i pod tym względem, że powstrzyma zniżkę ceny pracy, gwałtownie występującą w chwilach nadmiernej podaży niewieścich sił roboczych. *z.*

Szpitale na prowincyi.

Jak wiadomo, cały kraj nasz jest pozbawiony dostatecznej pomocy szpitalnej, co się odbija fatalnie na zdrowiu społecznem. Do jednej z przyczyn, stojących na przeszkodzie rozwojowi tak ważnej organizacyi, zaliczany zwykle bywa brak środków pieniężnych. Obecnie widzimy próbę zaradzenia złemu tymczasem w jednym tylko powiecie Warszawskim. Opracowaniem całej tej sprawy zajęła się osobna komisya, która przyjęła następujący system: uwzględniając liczbę 65,918 mieszkańców powiatu i 57,796 dzies. gruntów opodatkowanych, przyszła do wniosku, iż należałoby cały powiat podzielić na 7 rewirów lekarskich z odpowiedniemi szpitalami. Na takie urządzenie jednak potrzeba 40,000 rb., co przekracza środki mieszkańców. Zaprojektowano tedy na próbę urządzenie jednego szpitala powiatowego w Jabłonnie. Koszt obliczono na 5760 rb., które można ściągnąć za pomocą opodatkowania ludności w stosunku około 10 kop. od dziesięciny. Roczny budżet szpitala obliczono w następującym stosunku: utrzymanie lekarza 1200 rb., felczera 240, akuszerki 360, lokal 800, reszta utrzymanie chorych i służby. Jeżeli próba się powiedzie, może i inne miejscowości kraju doczekają się niezbędnych urządzeń.

JAN BLOCH

(Wspomnienie pozgonne).

Jeżeli ważyć mamy tylko rozwiniętą energię i zyskany rozgłos, to przyznać trzeba, że J. Bloch należał do najwybitniejszych u nas działaczów z ostatniej doby. Jeżeli zaś ani tej energii, ani temu rozgłosowi nie odpowiedziała wartość społeczna jego czynów, przyczyna tej różnicy spoczywała nie tyle w zdolnościach, ile w naturze umysłu i charakteru nieboszczyka. Bo wielkie jego zdolności pożerała większa od nich ambicya. Urodzony w niskiej sferze żydowskiej, niewykształcony szkolnie, tylko siłą wrodzonego sprytu i pomyślnych przypadków mógł dokonać tych ogromnych skoków w karyerze, które doprowadziły go do wielkiego majątku i wpływowego stanowiska. Między ubóstwem chłopca a milionami człowieka dojrzałego rozpościera się tak olbrzymia przestrzeń, że jej w ciągu paru dziesiątków lat nie można przebyć zwykłym, nawet wytężonym biegiem. A tu biedny chłopiec, zaledwie dojrzał, już bierze udział w milionowych przedsiębiorstwach, buduje koleje, zakłada banki, robi rozległe obroty finansowe — wchodzi do Olimpu plutokracyi. Drogi żelazne: Łódzka, Dąbrowska, Libawska i inne, różne banki, towarzystwa kredytowe i kasy pożyczkowe — bądź wyszły z jego budowy, bądź były w jego zarządzie i kieszeni. Na tem polu z wyjątkową wprawą, zręcznością i zabiegliwością zebrał on obfite żniwo zysków, między którymi najcenniejszych plonów dostarczała swemu prezesowi kolej Łódzka wysoką dywidendą.

Drugą sferą działalności Blocha była swego rodzaju tendencyjna naukowość. Wydał on szereg dzieł: o dochodach i wydatkach kolei rosyjskich, o wpływie kolei na stan ekonomiczny Rosyi, o finansach Rosyi, o kredycie amelioracyjnym, o przemyśle fabrycznym Królestwa Polskiego, o Żydach, o kanalizacyi, o wojnie itd. Ponieważ są to dzieła ogromne, naładowane imponującym materyałem statystycznym, należałoby podziwiać zdumiewającą pracę i wiedzę, gdybyśmy nie znali procesu ich tworzenia. Mianowicie, Bloch zakładał dla nich osobne biura, zaprzęgał do roboty gromady płatnych ludzi, którzy mu zbierali z rozmaitych źródeł materyał, obrabiany następnie, a często przekształcany przez niego według potrzeb i założeń. Byliśmy bezpośrednimi świadkami tego oprawiania nauki w ramy tendencyi, tego nadsztukowywania dowodów dla podparcia wniosku, tego zmieniania cyfr dla stwierdzenia faktu. Bo jemu nie szło o ścisłą prawdę naukową, ale o wywarcie pożądanego wpływu. Stąd też pomimo że w jego książkach znajdują się wywody rozumne, spostrzeżenia trafne, jednakże za wiarogodne źródła uważane być nie mogą i zwłaszcza przytaczanemi przez niego cyframi posługiwać się należy z wielką ostrożnością.

Już sama treść tych dzieł wskazuje, że Bloch odgrywał — że tak powiemy — rolę prywatnego męża stanu. Prawdopodobnie marzył on o przemianie tej prywatności na urzędowość, ale oprócz tytułów honorowych żadnego innego stanowiska na tej drodze nie zdobył. Ciągle jednakże na papierze gospodarzył Cesarstwem i Królestwem, ciągle podejmował i rozwiązywał zadania państwowe, ciągle podawał swoje leki na niedomagania ekonomiczne, ciągle urządzał generalne próby debiutanta ministeryalnego, który miał wkrótce wystąpić na scenie. Nie wystąpił nigdy, a jego rady, projekty, pomysły, jego — jeśli tak rzec wolno — cała polityka wewnętrzna przesunęła się jak szereg ćwiczeń sportowych i zabawa amatorska. Praktyczny wynik jego usiłowań — po za osobistymi celami — był zdumiewająco mały w stosunku do zużytych nakładów i energii. Przyczyna tego niepowodzenia spoczywała przedewszystkiem w tendencyjności jego prac naukowych i w sposobie jego oświecania innych. Zarówno w książkach, jak memoryałach i mowach zajmował zawsze wobec swych czytelników i słuchaczów stanowisko najmądrzejszego wobec najgłupszych. Nie umiał być ani ścisłym, ani skromnym. Jeżeli np. chciał wywalczyć Żydom prawo swobodnego osiedlania się w państwie, to dowodził „statystycznie," że oni wszędzie i zawsze byli dobroczyńcami ludności. Jeżeli powołany był do wyrażenia opinii w ustosunkowaniu żywiołów narodowościowych w służbie kolejowej, to rozstrzygał o ich rzetelności na wypadek wojny. Jeżeli znalazł się w komitecie obradującym nad zużytkowaniem funduszu, z którego powstała Politechnika warszawska, to domagał się założenia „pałacu ludowego" pod kierownictwem przedstawicieli rozmaitych władz. Zawsze stał osobno ze swem zdaniem, ażeby nie zniknąć w gromadzie i nie wzbudzić przypuszczenia, że pożyczał mądrość u innych, lub że inni mieli jego rozum. W tem pragnieniu posuwał się tak daleko, że nieraz stawał w poprzek najbardziej uzasadnionym dążeniom ogółu. Oto dlaczego powiedzieliśmy, że nieumiarkowana ambicya pożerała jego wielkie zdolności. Gdyby ktokolwiek mógł być dla niego wzorem i gdyby on mógł być kogokolwiek naśladować, byłby te swoje niezwykłe zdolności zużytkował tak, jak stary Leopold Kronenberg, który przyczynił się rzeczywiście do rozwoju ekonomicznego. Blochowi chciało się być reformatorem państwa, prywatnym ministrem bez teki. Na tej arenie mógł on zdobyć tylko szybko więdnące wawrzyny nietrwałych tryumfów i gorzkie zawody złudzeń manii wielkości.

Niewątpliwie z jego przedsięwzięć finansowo-przemysłowych wysączyły się jakieś korzyści, ale tych pobieżną oceną wymierzyć niepodobna. Mając zaś na względzie tylko wielkie rozmachy jego polityczno-ekonomicznej działalności, wyznać musimy, że wszystkie były chybione. Nie ubolewamy nad ich wynikiem, ale żałujemy zmarnowanych sił. *D.*

BADANIA NAUKOWE.

MUZYKA I EKONOMIA.

II.

Lecz, powie ktoś, to są wszystko osobliwości muzyczne, które w historyi muzyki nie odgrywają ważnej roli. Porzućmy je więc, a weźmy fakt niezmiernej doniosłości w historyi muzyki europejskiej: przejście od kontrapunktu do harmonii. Było ono — nieświadomem wprawdzie — dziełem Reformacyi luterskiej.

Przypomnieć tu wypada naprzód, że sama ta Reformacya była płodem i wyrazem stosunków ekonomicznych, mianowicie wyzysku krajów północno-europejskich przez papiestwo. To zaś ciągnęło zawsze dochody z całego chrześcijaństwa; lecz w pierwszej połowie wieków średnich, wśród powszechnego rozbicia ludności na prawie niezależne od siebie, gminne i miejskie całości gospodarcze, było ono niezbędne jako jedyna siła spajająca, jednocząca do walki przeciw Saracenom i Normandom, jako ośrodek organizacyjny duchowieństwa, które uczyło barbarzyńców wszystkiego — od rolnictwa do śpiewu. Podatki kościelne, składane w naturze, a więc z konieczności ograniczone, nie były przytem zbyt uciążliwe; dopiero rozpowszechnienie się pieniędzy, skutek wzrostu handlu, a w szczególności wypraw krzyżowych na Wschód, wytworzył w papiestwie dążność do nieograniczonego wyzysku krajów chrześciańskich na korzyść Rzymu. Ten sam rozwój handlu wytworzył jednak i żywioły, zdolne do opierania się tej dążności: harde mieszczaństwo kupieckie, krytycznie usposobione względem feodalnej formy produkcyi i zrośniętego z nią kleru, wymagające przeciw rozbójniczym feodałom i obcym ludom silnej władzy królewskiej, narodowej, która w dodatku czyniła papiestwo jako ośrodek organizacyi — zbytecznem. Francya, Hiszpania wcześnie odbyły ten rozwój i, nie zrywając z katolicyzmem, potrafiły nietylko skutecznie zastrzedz się przeciwko wyzyskowi ze strony papiestwa, ale i zawrzeć z niem przymierze zaczepno-odporne, do pewnego stopnia je opanować. Niemcy północne i Skandynawia, gdzie mieszczaństwo i monarchie miejscowe już rozwijały się, już walczyły z feodalizmem, ale jeszcze były zbyt słabe, stały się przedmiotem tem bezwzględniejszego wyzysku. W dodatku papiestwo, które dla Włoch było ośrodkiem narodowym, około którego włoskie, najwolnomyślniejsze, najkrytyczniejsze mieszczaństwo grupowało się, wołając o silny rząd przeciw feodałom, przejęło się też nowym, „pogańskim" duchem Odrodzenia i z całym libertynizmem zachowywało tylko zewnętrzne formy religii, potrzebne do utrzymania Niemiec w jarzmie. Stąd Reformacya jest hasłem zerwania z Rzymem i powrotu do pierwotnej czystości chrze-

ściaństwa. Że zaś tutaj władza monarchiczna nie była jeszcze bardzo rozwinięta, że nietylko wznoszące się mieszczaństwo, ale i zagrożeni już w swym bycie chłopi i szlachta średnia mieli jeszcze silne poczucie swej godności, że wreszcie wszystkie warstwy miały wspólny interes w pozbyciu się wyzysku Rzymu — więc Reformacya, w przeciwieństwie do absolutystycznego humanizmu, miała charakter ruchu masowego, miała ducha demokratycznego *).

Marx w jednym ze swych młodocianych artykułów w „Deutsch-französische Jahrbücher“ charakteryzuje Lutra następującymi dyalektycznymi zwrotami: „Uwolnił ludzi od zewnętrznej religijności, bo uczynił religijność wnętrzem człowieka. Zamienił księży w świeckich, bo świeckich porobił księżmi.“ Dopuszczenie wiernych do czynnego udziału w nabożeństwie wypływało z powyżej zaznaczonego demokratycznego charakteru Reformacyi. Tymczasem kościół katolicki zakazywał zgromadzonym śpiewać podczas mszy; śpiewały jedynie chóry wyćwiczone pod kierunkiem duchowieństwa. Luter, który sam kształcił się w kościelnej szkole śpiewu, cenił muzykę bardzo wysoko, przypisywał jej umoralniające znaczenie i chciał, aby całe zgromadzenie śpiewało pieśni liturgiczne. Z jego polecenia Johann Walther, „symfonista“ elektora saskiego Jana Fryderyka, opracował „Geystlich Gesangbüchleyn,“ zbiór pieśni takich specyalnie dla reformowanego kościoła, przyczem użył wielu motywów ludowych. Pieśni te jednak nie nadawały się do śpiewu przez wszystkich obecnych w kościele. Były one, podług dotychczasowego systemu, opracowane kontrapunktycznie, na głosy, towarzyszące głównej melodyi, która tkwiła w tenorze; otóż tenor z natury swej zamało uwydatniał się wśród innych głosów, wskutek czego nieuczony lud nie mógł pochwycić głównej melodyi. Po pewnym więc czasie inny kompozytor luterański, dr. Łukasz Osiander, przenosi główną melodyę z tenoru do dyszkantu—a robi to, rzecz godna uwagi, z całą świadomością celu i przewrotu. Wiem — mówi w przedmowie — że uczonym kompozytorom to się nie podoba, że jest to przeciw prawidłom, ale jak główna melodya jest w tenorze, to prosty człowiek nie pozna, co to za psalm i nie może śpiewać razem, a mnie chodzi o to, aby cała gmina chrześciańska śpiewała razem z chórem — i wyraża ten cel zaraz w tytule swych „50 pieśni duchownych.“ Mamy tu więc wypadek świadomego i celowego przystosowania *formy* muzycznej do *treści*—treści w danym wypadku religijnej, która z kolei jest formą ruchu społeczno-ekonomicznego, wypadek, nie tak może rzadki, jakby się zdawać mogło, ale rzadko dający się spostrzegać w takiej czystości.

Historyk muzyki, Ambros, przypisuje ten przewrót osobistemu zamiłowaniu Lutra do muzyki, który — powiada — gdyby był zelotem, to cała wielka ewolucya nie byłaby nastąpiła. Takiemu przeniesieniu środka ciężkości na „opatrznościowego“ wielkiego człowieka i w tym wypadku przeczy fakt potrzeby masowej, stwierdzony przez tegoż samego historyka: potrzeba ta była tak silna, że nagle pojawiło się całe mnóstwo śpiewników dla nowych kościołów. Luter kochał i popierał muzykę, bo odczuwał jej wielką władzę zrzeszania, suggestyi, wyswabadzania instynktów, która ma swe źródło w rytmie. Pracę zbiorową lud — pierwotny i współczesny — ułatwia sobie rytmem pieśni, który przystosowuje się do rytmu ruchów, najkorzystniejszego przy danej pracy, i to piętno pracy gospodarczej wyciska się na dalszym rozwoju muzyki z melodyj ludowych. Przed wojną tańce, śpiew, muzyka wytwarzają też odpowiedni nastrój. I kościół wszędzie przyswoił sobie zupełnie naturalnie tę siłę muzyki.

*) Por. Karola Kautskyego „Thomas More und seine Utopie,“ Einleitung.

Następstwa nieprzewidziane, niezamierzone owego dokonanego przez Osiandra przeniesienia głównej melodyi do sopranu były wprost nieobliczone. Sopran, głos z natury swej wyodrębniający się od reszty, uniezależniał się coraz bardziej, a inne głosy, zamiast śpiewać samodzielne melodye, od nuty do nuty tylko odpowiednimi interwallami godzące się z główną, jak to było w systemie kontrapunktu, spadały do roli podrzędnego akompaniamentu, który kompozytorzy, jak Chasler, Ecknrdt upraszczali coraz bardziej w tym samym „utylitarnym“ celu. Następnie mógł już wejść w użycie i śpiew pojedynczy na tle zespołu instrumentów; rozwinęła się harmonia, styl akordowy — opera. Przewaga śpiewu solowego, wirtuozostwo, któremu sprzyja próżność zbytkownych dworów, psuje, poniża operę; dopiero opozycyjne, poważne mieszczaństwo w XVIII w. (znów podstawa ekonomiczna!) uszlachetnia ją i podnosi na nowo.

A zanik łagodnego, Palestrinowskiego charakteru muzyki kościelnej w XVIII w. pod wpływem coraz gwałtowniejszych walk społecznych na tle rozwijającego się kapitalizmu? druga szkoła wenecka, wprowadzająca zmniejszoną septymę—dysonans!—do muzyki kościelnej, wynajdująca fugę, ten muzyczny obraz walki namiętnej, falowania, krzyżowania się żywiołów? A łączność duchowa Beethovena z rewolucyą francuską, Chopina, Schuberta itp. z rozczarowaniem, jakie po niej ogarnęło umysły, R. Wagnera z r. 1848?

Lecz sądzimy, że powiedzieliśmy dosyć, aby i w zastosowaniu do muzyki uzasadnić określenie sztuki, któreśmy dali w określeniu materyalizmu ekonomicznego: „Sztuka — w jednem znaczeniu stanowi część produkcyi materyalnej i ściśle zależy od stanu jej techniki; w innem, ogólniejszem, wolnem od względu na dotykalną stronę rzeczy, jest ona, rzec można, pewnego rodzaju *etyką instynktów*, czyli systemem czynności lub myśli i uczuć, sprzyjających wykonywaniu przez ludzi nakazów etyki społecznej, dzięki temu właśnie, co stanowi charakter sztuki, a mianowicie, że wszelki ślad pierwotnej, utylitarnej podstawy tych czynów i myśli zaginął, przestał być świadomym.“ W życiu społecznem — sztuka, w hierarchii sztuki — muzyka jest bezwątpienia funkcyą najbardziej odległą od podstawowej, ekonomicznej; dlatego też — o czem ani na chwilę zapominać nie wolno — posiada ona największą niezależność własnego rozwoju, rozmaitość form, niedających się sprowadzić do czynników podstawowych *).

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Ada Negri. *Niedola Burze*. przekład Maryi Konopnickiej. Warszawa 1901.

Kiedyś u wezgłowia Ady Negri stanęła Niedola, oświadczając, że nigdy jej nie opuści. Poetka broni się przed nią rozpacznie całą mocą żywej istoty, pożądającej radości i życia, lecz za obietnicę sławy, za obietnicę zórz po nocy przewalczonej skłania głowę i pokornie mówi: Zostań ze mną... Przygrywka ta może jest niezbędną dla całego szeregu utworów Ady Negri; ale w tłomaczeniu kilka fatalnych wkradło się do niej zgrzytów, które nieufnie usposabiają względem przekładu; traf zdarzył, iż parę początkowych utworów spolszczono mniej udatnie, i oto już podejrzliwie zaczynamy przebiegać wzrokiem jeden wiersz po drugim... i znowu tu i owdzie wykrywamy pewne usterki (zwłaszcza razi nadużywanie *co* zamiast *który*), zapewne skutek konieczności tłomaczenia wszystkich utworów po kolei, bez czynienia wśród nich wyboru stosownie do upodobania — w szerszym, przynajmniej zakresie. Trudno byłoby pominąć zupełnie te ujemne strony przekładu p. Konopnickiej, z przykrością tedy rozpoczynamy rzecz swą od zarzutu, a to z przykrością podwójną, najprzód ze względu na nazwisko tłomaczki, po drugie, iż uprzedzonemu czytelnikowi spolszczenie Ady Negri może się ukazać w gorszem świetle, niżby należało. A jednak dopiero teraz, nie biorąc w rachubę odosobnionych przekładów, drukujących się tu i owdzie w pismach — dopiero teraz czytelnik polski może się zapoznać bezpośrednio z głośną poetką włoską. Wprawdzie przed kilkunastu jeszcze miesiącami ukazały się „Pieśni niedoli“ i „Burze“ w szacie, przez p. Gabora sporządzonej; ale była to robota całkowicie nieudolna, częstokroć zdradzająca w tłomaczu opaczne rozumienie tekstu, a w każdym razie liczne dziwolągi odwracają uwagę od autorki do pośrednika między nią, a czytelnikiem polskim, i nawet rzucają na pierwszą pewien cień śmieszności. Obecny przekład, jeżeli pominiemy kilka mniej zręcznych rzeczy i zamkniemy oczy na nieczęste, zresztą, chropowatości, jest prawdziwie pięknym i odznacza się poetycznem odczuciem oryginału. Porównajmy parę zwrotek, bynajmniej nie przeciwstawiając najlepszych rzeczy Konopnickiej najgorszym Gabora.

Nędzarka, z dzieckiem u wyschniętej piersi, kołata do bram przytułku nocnego, ale musi wpierw wylegitymować się przed zwierzchnością zakładu: „A wtedy gdy im wszystko już rzekła... Rada jej łóżko na noc przyrzekła, łóżko nareszcie!“ (Gabor). „I nie wpierw aż krwawe rany doli odkryła do naga, *za ból, za wstyd* tej spowiedzi tapczan w przytułku ma dany.“ (Konop.). Wiersz płynnym nie jest, a jednak teraz dopiero czujemy ów smak goryczy, którym ludzie zaprawiają swą dobroczynność... „Śni, że na zawsze do niej należy to miękkie łoże, że dach znalazła, że głód uśmierzy, na zawsze może... Zadźwięczał dzwonek w przytułku schludnym, zorza zabłysła, nieszczęsna wstaje po śnie ułudnym... Wdziewa łachmany na nędzne ciało, iść jej stąd trzeba...“ (Gabor). „I śni, że dziś i na zawsze!... jej własnem łóżko to ciepłe! O słodki śnie! Że to łóżko jej własne! Dziś i nazawsze!... Wtem dzwon zajęczał surowy, różanych gaśnie snów zorza... *W szarym* się mroku porywa nieszczęsna z cudzego łoża. I chwyta nędzne odzienie i znów z dzieciątkiem na ręku za bramą *wsiąka w mgłę zimną*, w cień głodu i *opuszczenie*.“ (Konop.). Usunęliśmy niezręczniejsze zwroty Gabora, gdyż w porównaniu chodziło nam jedynie o to, jaka przestrzeń leżeć może między suchym, a poetycznym wyrazem tej samej myśli, w jakim stopniu umiejętność cieniowania, tu uwydatnienie jakiegoś szczegółu, tam użycie stosownego obrazu, owdzie jakieś zestawienie lub pewien odcień w dykcyi—w jakim stopniu to wszystko wpływa na odbierane wrażenie, na jego jakość i głębokość... Otóż Konopnickiej styl nagina się do nastroju uczuciowego poetki, staje się po kolei miękkim i pieszczotliwym, wzbiera siłą i namiętnością, rozbrzmiewa żalem i skargą... Pomimo wszelkie usterki przekład jest dobry. Wykwita zeń szlachetna i smutna postać

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu, str. 8, szp. 2, w. 43 od góry, zamiast „ludu,“ powinno być „łuka myśliwskiego“; szp. 3, w. 10 od dołu, zamiast „machiną,“ powinno być „modna.“

Ady Negri, która, niewątpliwie od dziś zdobędzie wśród nas szerokie koło przyjaciół, chociaż ten i ów nazwie jej pieśni... pensyonarskimi wierszykami.

Poznajemy oto organizacyę poetycką bardzo niezłożoną i niezmodernizowaną w najmniejszej nawet mierze. Nie schodzi w kręte, podziemne krużganki duszy, nie wyczerpuje mistycznych objawień; nie posiada palców, wprawionych do wydobywania z lutni zawikłanej melodyi szmerów... Nic nie mam przeciw tej melodyi, pragnę jeno określić wrażenie, wywołane przez poetkę. Natura to prosta i szczera, podbijająca swą bezpośredniością, żywiołowością i tem, że jej poezya jest jakby odruchowym oddechem z piersi, nie zastosowaniem jakiegoś przybranego nastroju i wmówionej teoryi, wszystko jedno czy społecznikowskiej czy w absoluty zapatrzonej. Kto cię hodował?— pytamy—„Wieś, pola i łany"—odpowiada. „Świeżość mych borów i szum ich rozwiewny przynoszę tobie zdaleka." Istotnie, z poezyi jej dobywają się nieraz świeże, proste a mocne wonie polnych ziół i borów—rzeźkie, aż ostre niekiedy, jak u poety amerykańskiego Whitmana, lub u naszego Kasprowicza. „Śpiewam hymn dziki i wolny, hymn silny, jak mąż w boju, prosty jak kłos polny, a wieczny jak promień słońca."

Ada Negri pochodzi z ludu, i tylko poświęceniom matki zawdzięcza, podobno wydobycie się z ciżby, pędzonej w świat biczem głodu i ciężkiej fizycznej pracy; to też w pieśniach swych wzniosła trwały pomnik i ofiarnemu uczuciu matki, i bezgranicznej, rzewnej dziękczynnej miłości dziecka. I pochodzenie autorki, i smutne wspomnienie wcześniejszych lat i późniejsze uciążliwe warunki, wyczerpującej pracy (poetka była nauczycielką wiejską w zapadłym kącie, bez możności zadośćuczynienia swym potrzebom duchowym), sprzeczność między wzlotami ducha a rzeczywistością—wszystko to głośnem odzywa się echem w jej poezyach i udziela światła dla zrozumienia jej natchnień.

Przypomnijmy sobie wstępną przegrywkę: „Już cię nie rzucę, o trwożne ty dziecię, póki pierś dycha" -mówi niedola. Ale im większa samotność, tem pilniejsza potrzeba kochającego serca, a im silniejszy ucisk, tem potężniejsze i gwaltowniejsze oddziaływanie. W naturze tej spoczęły nieprzebrane zasoby energii. Nieposkromioną, odurzającą falą aromatów bije z poezyi A. Negri namiętne pożądanie miłości, słońca, radości i rozkoszy. „Wyciągam ramiona za szczęściem, życiem, za dnia gwiazdą złotą, i na dnie serca czuję tęsknot męki do drogiej twarzy, do kochanej ręki, coby mej głowy dotknęła z pieszczotą." Pożądanie to i tęsknota wciela się nie w jękliwe zawodzenia, lecz w wizye pełne nieraz olśniewającego blasku. „Patrz, co na świecie jest słońca, ile róż młodych pąki swe rozwija! Słuchaj, jak piosnka dzwoniąca z gniazd skowronkowych ku niebu się wzbija." Dziecko nieba południowego, wykołysane u piersi matki - przyrody, nie hamuje swych uniesień, daje się powodować gorącym krwi rzutom... Nie wkłada maski i skromnych minek nie stroi. Przyznaje się głośno do instynktu macierzyństwa. „Wzywam cię ,różo, rozkwitła o świcie, cudzie wnętrzności moich, mego łona, który me życie wlejesz w nowe życie." Nie wstydzi się tęsknoty do pocałunku, „pogańskiego pocałunku," co rozwiał się przed urodzeniem. Jej dusza rozpalona" woła kochanka, gwałtownie, miłośnie, jak ptak, co z krzykiem i ze skrzydeł biciem krąży, aż spadnie na gniazdo o wiośnie." „Na me dziewicze serce chmurą spada wyroczna chwila żądzy i płomienia..." Niestety, kochany daleko... „Skonała naszej rozkoszy godzina, skonała z zimna i głodu." Te śmiałe i „pogańskie" wybuchy są zawsze w wyrazie swym szlachetne, a że dalekie od motywów operetkowych—czyż wspominać trzeba?

W poezyi Ady Negri spotkamy niejedną kargę na los, skargę rozpaczliwą i buntowniczą, to znowu rzewną i poddania pełną, lecz nigdy płaczliwą. Poczucie niezmożonej siły znajduje wyraz w poczuciu godności i dumy. „Dzień dobry, nędzo! Nie straszna mi wcale... Nie wydrzesz mi boskiej siły, co w sercu mojem płomieni się żywa." Tęsknota ku szczęściu, którego przeznaczenie jej poskąpiło, zamienia się naraz w tryumfalny hymn życia. „Jam silna!"—woła. „W piersi mej dźwięczy struna szczerozłota *miłości*, co *świat odradza bez końca*, jak pocałunek słońca płodna, a wiekuista, jako posiew żywota..." Rzadko takie dumne słowa wyrzucone były z pieśni wieszczej z większem przeświadczeniem o swojem *prawie*... A my jej tego prawa nie odmówimy. Ów „pocałunek pogański" staje się symbolem rodzajnych dreszczów, przenikających całą przyrodę, jest objawem wezbrania prądów tętniących we wszechświecie... To uśmiech ziemi, oblanej jednem światłem słonecznem. „Ten pocałunek tak czysty, tak zdrowy, potężnem echem odbiło wszechżycie." „W każdem źdźble trawy dusza tchnie żywa, i w każdym pyłku jest drżąca... Z boskim bezwstydem wszystko się zrywa do życia — w obliczu słońca..."

Gorący promień, odbiwszy się od szerokich, jasnych rozłogów, wpadł w mrowisko ludzkie i, załamując się tam różnorako, mieni się tęczą miłości i nadziei. Świat ludzki przecie to cząstka przyrody, i oto pierwiastek panteistyczny staje się naraz chrześciańskim i społecznym. Nie mamy tu do czynienia z jakimś odosobnionym, niezawisłym od innych kierunkiem uczucia czy wyobraźni, gdyż wszystkie pospołu i jednocześnie wypływają z głębszych nurtów indywidualności Ady Negri. Wyszła ona z łona spodniej warstwy społecznej, pamięta to i chlubi się tem. „Nie mam imienia. Dziko surowa mnie glina wilgotnej izby zrodziła. Lud nędzny, lud przeklęty— to moja rodzina. *Lecz z piersi mi wybucha żywym ogniem siła*." Z jakąś pobłażliwą i pogardliwą litością spogląda na kołyskę „ostatniego księcia," co „z chłodnej pieszczoty w modnej alkowie na świat zrodzony." — „Wrzątku purpury niema w krwi twojej... Na nic zrodzony, żyw dla niczego." Śmiało rzuca wyzwanie damom, „od wosku bledszym, z pieszczoną rączką, małą, bez mocy": „Sierp mi podajcie z ostrzem błyszczącem. Skwar letni praży? — Nic się nie stanie! Chcę pod promiennem, ożywczem słońcem stanąć do pracy na łanie. Ramiona nagie—ot tak! Pierś wolna, brzeg sukni za pas! Nic mnie nie ściska... Ta twarda praca, pokorna, polna, dziwnie mnie swojska i bliska."

Przypominanie o sobie słuchaczom, iż „jam ścierniska jest kwiatem," z wielką często prostotą czynione, nie jest rodzajem tarczy ochronnej, nie jest podobne np. brawurze Judyma, który czując się w głębi ducha „szewczyna," nieprawnie wchodzącym w świat kulturalny, i maskując swą lękliwość, przybiera zaczepną postawę. Duma Ady Negri z innego pochodzi źródła, a jest niem wiara, iż do rzeszy pracującej należy jutro świata, że pod sztandarem pracy, wytrwałości i jedności dobre potęgi odniosą zwycięstwo nad złemi. Zrozumiała dla niej jest „pieśń pługa," przeczuwającego te świąteczne dni ludzkości, kiedy lud dzielny „czarne rodzajnych ziem bryły w słońcu przeorze na świeże zagony nowego życia i siły." Z piersi poetki wybiegają samorzutnie natchnione dźwięki, wiążące się w entuzyastyczny hymn pracy, rozbrzmiewające radosnem wezwaniem do boju. „Dalej pod błękit, w jasność bez końca, z motyką, z sierpem i w wieńcach liści..." „Czuć się kroplą tej fali, co rodzajny namuł składa na rodzajne grunty, być cząstką tej siły, co świat przetwarza, stać pod sztandarem, pod którym „z hańby stuleci, z klęsk wieków *ludzkość podnosi się nowa*" — czyż to wszystko nie rozpali w sercu radosnej dumy? Czy to nie wzniesie na wyżynę, z której i własna niedola, i nędzne sprawy „ostatniego księcia," wiotkich dam, od wosku bledszych i całej tej czeredy „ziewających nudą próżniaków" — wydają się nam czemś tak marnem, iż nie zaważą tyle, co pyłek, na szali wszechżycia?

(D. n.)

A. Drogoszewski.

POEZYE

Bojownik.

Tak jakeś ty spojrzała, spojrzeć tylko umie
Łania, celnym myśliwca strzałem w piersi [tknięta.
Tak uczuć musi lilia niewinnością święta,
Gdy ślepiec jej nie pozna w kwiatów sennym [tłumie.

Mewa z rozdartem skrzydłem, gdy w naglącym [szumie.
Przypływ morza usłyszy, gdy w niemocy pęta
Zakuta lękiem śmierci, kres rychły zrozumie,—
Tak spojrzy, zanim spłynie, na fali rozpięta.

Taką głębią spojrzenia, gdyśmy się żegnali,
Powiedziałaś mi wszystko, choć milczały usta,
Choć żaden dźwięk przygasłych nie dotknął [korali.

Odchodzę. Z czem odchodzę?... Pierś, jak mo- [rze, pusta.
Łódź prysła. — Na niej żaglów mych upiorna [chusta...
Ląd... Trąbka gra pobudkę... Na bój! — W ży- [cie!—Dalej!

Wacław Rogowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

KRÓLESTWO POLSKIE
W RAPORTACH KONSULATU ANGIELSKIEGO.

(Dokończenie).

Przechodząc do gospodarki wiejskiej, sprawozdanie wskazuje olbrzymi, dochodzący do 100% wzrost ceny lasów w przeciągu 6-ciu lat (1892—8). Właściciele ziemscy osięgali niewielką korzyść ze sprzedarzy drzewa, gdyż, nie prowadząc gospodarki należycie, byli wogóle wyzyskiwani przez kupców, którzy „stale otrzymywali za odprzedane drzewo sumy, wystarczające na zapłacenie nietylko za las lecz i za ziemię, na której on stał"*). Prawo o ochronie lasów, tak nieprzychylnie przyjęte przez naszych właścicieli ziemskich, okazało się w rezultacie bardzo dla nich korzystnem: wzrosła cena drzewa, co przyczyniło się do wzrostu cen ziemi. Właściciel ziemski stracił możność prowadzenia gospodarki rabunkowej, lecz natomiast wartość jego majątku powiększyła się. A że należyte gospodarstwo leśne, do którego wprowadzenia prawo ochrony zmusi ziemian, przynosi u nas bardzo dobre dochody, dowodzą tego cyfry Departamentu Le-

*) Annual Series. Nr. 2226. 1899 r. Str. 36.

śnego, wykazujące dochód z lasów rządowych w Królestwie, dochód ten wynosił w 1900 roku 4,630,000 rb. na czysto, to jest 3 rb. 12 kop. z jednego akra. W Rosyi dochód z lasów państwowych wynosił zaledwie 18 kop. z akra.

Sprawozdanie za rok 1898 zwraca uwagę na ten dziwny fakt, że produkcya zboża w Królestwie zmniejsza się z roku na rok, oraz, że ceny zboża są wyższe na miejscu aniżeli zagranicą. Przyczyną pierwszego zjawiska ma być parcelacya, pociągająca za sobą zniżanie się kultury rolnej. Wysokie ceny zboża w Królestwie są rezultatem niedostatecznej produkcyi zboża, nie wystarczającego nawet na spożycie wewnętrzne .*)

Sprawozdania konsulatu nie przeoczają również strat, jakie ponosi gospodarstwo rolne wskutek niedostatecznej ilości robotnika rolnego. Przytaczając różne projekty, jakie włościciele ziemscy różnymi czasy przedstawiali władzom do zatwierdzenia w celu ukrócenia emigracyi ze wsi, raporty stwierdzają fakt, że przyczyną wychodztwa jest przedewszystkiem niezwykle nizkie wynagrodzenie robotnika rolnego. Brak rąk do pracy ma jednak dobrą stronę: zmusza właścicieli ziemskich do wprowadzania maszyn rolniczych i kultury intensywniejszej. Nizka płaca robocza wpływa w Królestwie hamująco na przetworzenie się niektórych gałęzi rękodzielnictwa w wielki przemysł fabryczny. Tak np. przytoczony jest szereg usiłowań różnych przedsiębiorców zagranicznych, którzy musieli porzucić zamiar otworzenia w Warszawie wielkiej fabryki obuwia gdyż uważali, że w żaden sposób nie będą mogli współzawodniczyć z tanim ręcznym wytworem. Że ulgi, jakie kapitał od czasu do czasu czyni pracownikom, oddziaływają dodatnio na rozwój samego przemysłu, dowodzi, wpływ prawa skracającego godziny pracy: mówiąc o rozwoju fabryk tkackich w roku 1898, raport twierdzi: „pomyślność tę należy przypisać głównie nowemu prawu fabrycznemu, skracającemu dzień roboczy z 13 godzin do 11½, co zmusiło przemysłowców do powiększenia zakładów; inaczej nie mogliby utrzymać produkcyi na poprzedniej stopie i wypełnić dużo zamówień, otrzymanych w końcu roku 1897. **)

Ciekawe jest zdanie konsulatu o wynikach wprowadzenia monopolu wódczanego w Królestwie. „Dwoma najważniejszymi punktami tej sprawy są: czy zmniejszyła się ilość spożytego alkoholu, oraz—czy dochód skarbu powiększył się, czyz mniejszył. W Królestwie, gdzie monopol wprowadzono d. 1 stycznia 1898 r., piją obecnie rzeczywiście mniej spirituali, lecz to zmniejszanie się nie może być przypisane wprowadzeniu monopolu, gdyż trwa już od roku 1894... Znaczne zmniejszenie się spożycia spirytusu w pierwszym roku istnienia monopolu objaśnia się tem, że ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze do nowego systemu sprzedaży; w następnym roku spożycie wzrosło, w niektórych miejscach aż o 11%.“ „Wprowadzenie monopolu miało jednakże na celu nie tyle zmniejszenie ilości spożywanego spirytusu, ile raczej ukrócenie pijaństwa; lecz pijaństwo nie było wadą Polaków... W każdym zaś razie zaprowadzenie monopolu w Królestwie było dla rządu nadzwyczaj zyskowne. W roku 1899 zyski z monopolu w Królestwie wynosiły 11,280,000 rb., co wynosi 55% więcej niż dochód w latach poprzedzających reformę“*).

Zaznaczając postępy jakie czyni w Królestwie wykształcenie techniczne, konsulat zaznacza również wady teraźniejszego systemu przygotowywania handlowców. Są to: zupełne zaniedbanie stenografii, oraz brak specyalnego „trenowania” komiwojażerów, które jest w Niemczech doprowadzone do doskonałości, a na które tutaj mało co więcej zwracają uwagi niż w Anglii.“

Lecz może najciekawszymi są ustępy zawierające ogólną charakterystykę ludności polskiej pod względem uzdolnienia przemysłowego i kupieckiego, choć, z drugiej strony, opinie te nie są bynajmniej nowemi—dla nas przynajmniej. „Przeszkodą, uniemożebniającą jakiejkolwiek części państwa rosyjskiego poważne współzawodnictwo z Europą zachodnią będzie zawsze charakter ludności... W tej części (Królestwo) Polacy biorą się do handlu i przemysłu lepiej niż Rosyanie, są w tym zakresie inteligentniejsi i klasa niższa dostarcza doskonałego robotnika fabrycznego, lecz jest prawie niemożebnem powierzenie Polakom w przedsiębiorstwach przemysłowych miejsc zajmowanych w innych krajach przez klasę średnią, gdyż są oni podzieleni na dwie warstwy: wyższą i niższą; z tej ostatniej rekrutują się wyborni robotnicy, niezdolni jednak do zajęcia innych stanowisk; klasa wyższa tak przejęta jest myślą o swem „szlachectwie,“ że uważa ciężką pracę praktykanta za poniżającą i jeżeli ktokolwiek z tej warstwy bierze się do pracy, to w przeciągu kilku lat ma nadzieję zostać kierownikiem. Te warunki sprawiają, że w tutejszych przedsiębiorstwach, jest wielka liczba cudzoziemców. Polacy są zupełnie odpowiedni na miejscach urzędników lub handlowców, lecz nie w fabrykach“.**) Albo charakterystyka przemysłu: „Wybitnym rysem jest zupełny brak inicyatywy, tak że niektóre gałęzie przemysłu leżą odłogiem, podczas gdy w innych panuje nadprodukcya. Gdy zakłada się jaka nowa specyalna fabryka, znalezienie dostatecznego kapitału jest niesłychanie trudne; lecz gdy już przedsiębiorstwo istnieje i po kilku latach zaczyna przynosić duże zyski, wówczas zapanowywa formalna mania zakładania podobnych fabryk. Ludzie wcale nie zastanawiają się nad tem, czy spożycie jest dostatecznie wielkie, aby mogło pochłonąć zwyżkę produkcyi, lecz jedynym argumentem bywa: jeżeli istniejąca fabryka daje 20%, to dla czegóż moja nie ma przynieść równej tyle?“***).

Wartość raportów konsularnych polega przedewszystkiem na olbrzymiej ilości danych, tyczących się najrozmaitszych przejawów naszej gospodarki. Znajdujemy w nich wiele cyfr i spostrzeżeń, uchodzących nieraz z pod uwagi naszych fachowych ekonomistów; tak np. danych o dochodach z lasów rządowych, o niektórych syndykatach itp. niema w specyalnych pracach o Królestwie Polskiem p. Koszutskiego lub statystycznych p. Załęskiego. Raporty, czerpiące ze swej strony materyał z ogłoszonych u nas prac, zawierają zawsze trochę spostrzeżeń nowych. Przebija się w nich staranie o ścisłość: nie brak uzupełnień i poprawek wcześniej podanych wiadomości; jeżeli są błędy w wypowiedzianych opiniach, to wynikają one wyłącznie z braku należytych informacyj. Tak np. objaśnianie niemożności zwiększenia produkcyi kopalń brakiem rąk roboczych jest powtórzeniem fałszów, rozsiewanych przez prasę codzienną, nie chcącą dojrzeć działalności syndykatu węglowego; opinia konsulatu o niezdolności Polaków do zajęć technicznych również, zdaje się, jest raczej echem obrad zjazdu górniczego aniżeli przekonaniem, opartem na faktach. Największą dokładnością odznaczają się raporty wydawane w specyalnych sprawach, np. o położeniu większej własności ziemskiej, o banku włościańskim, o włościanach i o drobnej własności ziemskiej w Królestwie. Ten ostatni zawiera informacye, których w literaturze polskiej o tym przedmiocie naprożno byśmy szukali.

T. Filipowicz.

*) Zapatrywanie jednostronne. Kraj, w którym wzrasta przemysł fabryczny na podstawach kapitalistycznych oparty i rozwija się jego technika, produkcya zbożowa schodzi coraz bardziej na plan dalszy i nie wystarcza na potrzeby miejscowe. Natomiast napływa ziarno w wielkich ilościach ze stron, w których produkcya, bardziej jeszcze zbliżona do form pierwszych, jest tania. *Red.*

**) Tamże str. 32.

*) Annual SeriesNr. 2578. 1901r. Str. 29—30.

**) Annual Series. Nr: 2135. 1901 r. Str. 4—5.

***) Annual Series Nr. 2425. 1900 r. Str. 4.

KRONIKA.

Pomnik Chopina Na członków komitetu budowy pomnika Fryderyka Chopina wybrani zostali i zatwierdzeni: Aleksander hr. Dienheim-Szczawiński-Brochocki, Adelajda z Bolskich hr. Szczawińska-Brochocka, Feliks hr. Czacki, Adam hr. Krasiński. Maurycy hr. Zamoyski. Stefan ks. Lubomirski, Ignacy Paderewski, Maryan Gawalewicz, dr. Henryk Dobrzycki. J. A. Święcicki, Abdon Zan, Ludwik Grossman.

Wiadomości społeczne. Panna Józefa Tuhanowska zaofiarowała mińskiemu Towarzystwu rolniczemu na dogodnych warunkach sprzedaży, własność swą, historyczne Tuhanowicze, w pow. Nowogródzkim, miejsce uświęcone wspomnieniami o Adamie Mickiewiczu i Maryli Wereszczakównie, gdzie dotąd przechowują starannie brzozę, którą poeta sadził, i kamień wielki wśród jaru, cel jego przechadzek.

Szkoły. Postanowiono podnieść wymagania co do stopnia uzdolnienia osób, ubiegających się o posady nauczycieli rysunków w średnich zakładach naukowych.

Banknoty. Ogłoszono Najwyższy rozkaz o przedłużeniu terminu wymiany biletów kredytowych, dawnych wzorów, 100, 25, 10 i 5-rublowych, do 31 grudnia 1902 r.

Telefony. D. 14 stycznia r. b. otwartą będzie komunikacya telefonowa między Warszawą a Lodzią. Na zasadzie umowy, zawartej z Towarzystwem szwedzkiem, abonenci telefonów w razie potrzeby mogą w domu przy pomocy swoich aparatów rozmawiać bezpośrednio z Łodzią. Za 3-minutową rozmowę pobierana będzie opłata 75 kop. i 10 kop. na rzecz Towarzystwa szwedzkiego. Osoby, które chcą z domu korespondować, muszą w biurze zarządu telefonu Łódź-Warszawa, mieszczącem się przy ul. Próżnej nr. 10, złożyć deklaracyę i kaucyę oznaczonej wysokości, z której potrącaną będzie należność za rozmowę.

Ze sztuki. W Salonie Krywulta otwarto wystawę karykatur, urządzoną staraniem Towarzystwa artystycznego.

Oświata. Dzienniki petersburskie donoszą, iż do ministeryum oświaty wniesiono wiele podań od różnych instytucyj i towarzystw o wprowadzenie w Rosyi obowiązkowego nauczania początkowego.

— Zarząd gminy żydowskiej stara się o wyjednanie w ministeryum oświaty pozwolenia na otwarcie przy chederach kursów wieczornych z nauką rzemiosł dla Żydów-wyrostków.

Konkurs. Zjazd przedstawicieli kolei w Petersburgu ogłosił konkurs na ulepszony przyrząd automatyczny do łączenia wagonów. Nagrody 5,000, 3,000 i 1,000 rb.; termin nadsyłania wzorów oznaczono na d. 15 kwietnia 1903 r.

— Stowarzyszenie techników, przyjąwszy od inż. Feliksa Kucharzewskiego kwotę 300 rb., jako nagrodę za najlepszy artykuł, jaki wydrukowany będzie w *Przeglądzie Technicznym* w ciągu r. 1902, ogłasza, że konkurs został otwarty d. 1 stycznia, zamknięty będzie 31 grudnia r. b., rozsądzenie zaś nastąpi d. 14 lutego 1903 r. Nagroda przyznaną będzie autorowi artykułu oryginalnego, liczącego co najmniej 600 wierszy druku, oprócz rysunków, wydrukowanego w *Przegl. Techn.* w czasie trwania konkursu, a w przekonaniu większości członków sądu konkursowego najlepszego i najpożyteczniejszego, bez względu na to, czy treścią będzie opis własnego pomysłu autora, czy też rozpatrywanie innych, poglądy ogólne lub poszukiwania specyalne. Z liczby ubiegających się wyłączeni będą członkowie sądu konkursowego, tudzież autorowie, którzy drukowali swe prace w pierwszem dziesięcioleciu istnienia *Przegl. Techn.*,

tj. przed r. 1885. Sąd konkursowy składać się będzie z 9 członków Stowarzyszenia techników w Warszawie, wybranych przez radę gospodarczą, a w tej liczbie z redaktora *Przegl. Techn.*, jako przewodniczącego.

Odczyty. Dnia 12 stycznia r. b. p. Moszczyńska-Rzepecka wygłosi w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa odczyt p. t. „Reformy w wychowaniu moralnem.“

O Morskie Oko. Sejm galicyjski uchwalił wniosek posła Kozłowskiego, wzywający rząd do załatwienia przewlekającego się sporu o terytoryum nad Morskiem Okiem. Żąda on wydania sądu polubownego na miejsce sporne, wyboru superarbitra i zabezpieczenia się przed gwałtami i nadużyciami żandarmeryi węgierskiej, a nadto wydania mapy, wykazującej, że pretensye graniczne Węgier w latach 1774–1824 dotyczyły innych gmin i obszarów, a potem aż do r. 1883 ciągle się zmieniały, ze szkodą dla Galicyi.

Obieżysasi. Pruska władza policyjna zniosła niektóre przepisy, utrudniające właścicielom ziemskim przyjmowanie robotników polskich w porze zajęć rolnych: mogą ich sprowadzać bez zezwolenia landrata lub miejscowej władzy policyjnej, lecz zmuszeni są, pod grozą utraty tego przywileju, przestrzegać regulaminu o utrzymywaniu robotników, kontroli, rewizyi lekarskiej itp.

Ofiara. Moskiewska Izba sądowa zatwierdziła testament Sawinowa, który zapisał 250,000 rubli ubogim dziewczętom wszystkich stanów.

Zmarli. Artur Sulimierski, pedagog, współpracownik kilku pism warszawskich.

— John Swinton, w Nowym-Yorku; słynął jako najwybitniejszy dziennikarz, przekonań demokratycznych, obrońca interesów sfery robotniczej. Żył lat 71.

— Henryk Fouquier, wybitny publicysta i krytyk teatralny w Paryżu.

Jan Dalrymple, w Belfaście, słynny niegdyś malarz londyński. Umarł w nędzy i z głodu.

Odpowiedzi Redakcyi

Bardowi z nad Łady. W „Tęsknocie“ Pańskiej mało jest myśli logicznie związanych, zupełny brak poczucia rytmu, lecz zato zbyt wiele wykroczeń przeciwko gramatyce dla... rymu. I poecie nie wszystko wolno.

Panu Antoniemu Bartar. Przekładu drukować nie będziemy.

Panu J. Pruszyńskiemu. Na członka Kasy pogrzebowej może się zapisać każdy chrześcianin w wieku od 21 do 55 lat, bez względu na płeć, byle zdrów. Wpis 3 rb., pierwsza składka 1 rb. 50 kop.

SPROSTOWANIE. W nr. 1 *Prawdy*, w notatce „Na marginesie.“ zamiast Geiher, winno być: Geiger zam. „przed r. 1878“ — przed r. 1848; zam. „Walki“ — „Walli.“

Campanelli. Damy tylko „Kosiarza“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Декабря 1901 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.